ŁOWIEC POLSKI



„Kuropatwy" rys. S. Rozwadowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 9 (958) Wrzesień – 1948 r. Cena zł 50

Rok 50-ty wydawnictwa

INSTRUKCJA W SPRAWIE EGZAMINÓW

Stosownie do § 8 ustęp 3 statutu Polskiego Związku Łowieckiego, Komitet Wykonawczy w imieniu Rady Naczelnej podaje do wiadomości wszystkim wojewódzkim i powiatowym radom łowieckim następującą instrukcję w sprawie egzaminów.

§ 1. Ubiegający się o przyjęcie w poczet członków zwyczajnych Polskiego Związku Łowieckiego może być przyjęty przez wojewódzką radę łowiecką nie wcześniej jak po złożeniu odpowiedniego egzaminu, z zachowaniem wszelkich przepisów statutu.

§ 2. Zwolnienie od obowiązku złożenia egzaminu przysługuje tym członkom Polskiego Związku Łowieckiego, którzy przed dniem 31 grudnia 1947 r. byli członkami zwyczajnymi Polskiego Związku Łowieckiego.

§ 3. Wszyscy członkowie nadzwyczajni Polskiego Związku Łowieckiego winni złożyć egzamin na członków zwyczajnych w ciągu roku 1948, stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego z dn. 29.VI.1947 r.

§ 4. Wojewódzka rada łowiecka może w wyjątkowych wypadkach zwolnić kandydata od obowiązku złożenia egzaminu.

§ 5. Dla przeprowadzenia egzaminów przewidzianych w § 1 niniejszej instrukcji, powołuje wojewódzka rada łowiecka powiatowe komisje egzaminacyjne.

§ 6. Powiatowe komisje egzaminacyjne składają się z łowczego powiatowego jako przewodniczącego oraz z dwóch członków, wyznaczonych na okres roczny przez wojewódzką radę łowiecką spośród myśliwych danego powiatu, będących członkami Polskiego Związku Łowieckiego i posiadających odpowiednie, fachowo łowieckie kwalifikacje.

Uwaga: W wypadku trudności z powołaniem powiatowej komisji egzaminacyjnej na terenie któregoś z powiatów, wojewódzka rada łowiecka nada prawo egzaminowania w takim powiecie powiatowej komisji egzaminacyjnej jednego z najbliższych powiatów.

§ 7. W zakres egzaminu wchodzą: znajomość prawa łowieckiego i statutu, organizacji Polskiego Związku Łowieckiego, ogólne wiadomości o łowiectwie i myślistwie, szczegółowe wiadomości o bezpieczeństwie na polowaniu oraz dokładna znajomość obchodzenia się z bronią myśliwską i zasad etyki myśliwskiej.

8 §. Potrzebny do przygotowania się do egzaminu materiał może kandydat otrzymać u właściwego łowczego powiatowego lub w Spółdzielni „Jedność Łowiecka" w postaci „Kalendarza Myśliwskiego" na rok 1948, względnie inny materiał, polecony przez łowczego.

§ 9. Ubiegający się o przyjęcie w poczet członków zwyczajnych Polskiego Związku Łowieckiego składa do powiatowej rady łowieckiej podanie o przyjęcie wraz z prośbą o dopuszczenie do egzaminu.

§ 10. Zebrania powiatowe komisji egzaminacyjnej odbywają się w miarę potrzeby, nie rzadziej jednak niż raz na trzy miesiące, a zwoływane są przez przewodniczącego komisji egzaminacyjnej. O terminie i miejscu egzaminu zainteresowany winien być powiadomiony przez przewodniczącego komisji egzaminacyjnej co najmniej na dwa tygodnie przed egzaminem. Ogłoszenie o terminie egzaminu winno być również wywieszone w lokalu powiatowej rady łowieckiej.

§ 11. Egzamin dla członków nadzwyczajnych, przechodzących w roku 1948 na członków zwyczajnych, jest bezpłatny. Nowowstępujący wnoszą opłatę za egzamin w wysokości 100 zł na rzecz powiatowej rady łowieckiej.

§ 12. Członkom powiatowej komisji egzaminacyjnej należy zwracać efektywne koszty przejazdów oraz diety w wysokości ustalonej dla członków powiatowej rady łowieckiej.

§ 13. Posiedzenia egzaminacyjne powiatowych komisji egzaminacyjnych są jawne. Posiedzenia kwalifikacyjne są tajne. Decyzje zapadają zwykłą większością głosów.

§ 14. W wypadku niepomyślnego wyniku egzaminu może kandydat być powtórnie wezwany do egzaminu, jednak nie wcześniej jak po upływie dwóch miesięcy i za opłatą 100 zł na rzecz powiatowej rady łowieckiej.

§ 15. W wypadku dwóch niepomyślnych wyników egzaminu, kandydat może być dopuszczony do egzaminu po raz trzeci, nie wcześniej jednak, jak po upływie sześciu miesięcy od daty ostatniego egzaminu oraz po uprzednim wpłaceniu 500 zł na rzecz powiatowej rady łowieckiej.

§ 16. W wypadku pomyślnego wyniku egzaminu, łowczy powiatowy przesyła podanie ubiegającego się o przyjęcie w poczet członków Polskiego Związku Łowieckiego oraz odpis decyzji komisji egzaminacyjnej — do wojewódzkiej rady łowieckiej z wnioskiem przychylnym o przyjęcie.

§ 17. Powiatowa rada łowiecka winna przechowywać w swych aktach wszystkie podania o egzamin, wraz z adnotacjami o wyniku egzaminu.

§ 18. Instrukcja niniejsza wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1948 roku.

Komitet Wykonawczy P. Z. Ł.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 9 (958) 1948 wrzesień



Kozioł *rys. T. Bełżecki*

OBCHÓD 25-LECIA P. Z. Ł.

W dniu 8 sierpnia 1948 r. Polski Związek Łowiecki obchodził uroczyście 25-letnią rocznicę powstania Polskiego Związku Łowieckiego, organizacji, która w 1923 r. połączyła rozproszone dotąd w trzech zaborach zrzeszenia myśliwskie w jedną, wspólną dla całego, odrodzonego po 150 latach niewoli, Kraju.

Wedle ustalonego programu uroczystość rozpoczęto od wysłuchania Mszy Św. w kościele Św. Krzyża w Warszawie, po czym udano się do odbudowanej siedziby Związku przy ul. Nowy Świat nr 35.

Tu przedstawicieli władz, licznie zgromadzonych Kolegów myśliwych ze stolicy, przedstawicieli terenowych organizacji Związku oraz sympatyków łowiectwa powitał serdecznym przemówieniem prezes Polskiego Związku Łowieckiego, generał dr Bolesław Szarecki, przypominając różne koleje losu naszego Związku, podnosząc energię oszczędzonych przez wojnę i krwawą okupację Kolegów, którzy nie pozwolili upaść naszej organizacji i zbiorowym wysiłkiem podnieśli ją do poziomu obecnego. Mówca wyraził wiarę, że na tej drodze postępu Związek będzie kroczył dalej, coraz ściślej wiążąc łowiectwo z potrzebami gospodarczymi i kulturalnymi Kraju.

W ślad zatem zabrał głos Minister Leśnictwa Ob. B. Podedworny, wygłaszając następujące przemówienie:

„Za ciepłe, życzliwe słowa skierowane pod moim adresem serdecznie Panu Generałowi dziękuję.

Dwudziestopięciolecie Polskiego Związku Łowieckiego, obchodzone w tak podniosłym nastroju i w tak miłej koleżeńskiej atmosferze, jest manifestacją ideałów etyki łowieckiej i wysoce obywatelskiego stanowiska polskich myśliwych, zrzeszonych pod znakiem św. Huberta.

Wojne nie tylko przyczyniła się do zdziesiątkowania naszego zwierzostanu, a tym samym do zachwiania niezbędnej w przyrodzie równowagi biologicznej, ale — co najsmutniejsze i najgroźniejsze — wpłynęła na wypaczenie zasad obcowania człowieka z otaczającą go przyrodą.

Naprawa tych zgubnych następstw wojny przy równoczesnym upowszechnieniu nieskażonych ideałów łowiectwa wśród szerokich mas, uczestniczących w nowej rzeczywistości w prawach korzystania z bogactw naszej przyrody, jest jednym z głównych dziś zadań i drogowskazów ogółu polskich myśliwych, którym naturalne piękno i urok ziemi ojczystej tak głęboko leży na sercu.

Szczytne te i ważne zadania mogą być wykonane jedynie przy harmonijnej współpracy Polskiego Związku Łowieckiego z Ministerstwem Leśnictwa, które przejęło w swe ręce całokształt spraw związanych z gospodarką łowiecką.

Z głębokim zadowoleniem stwierdzam, że współpraca ta rozwija się pomyślnie, czego najlepszym wyrazem jest współudział Polskiego Związku Łowieckiego w opracowaniu nowej ustawy łowieckiej, dostosowanej do nowych warunków i nowych zadań gospodarczo-społecznych łowiectwa.

Wierzę głęboko, że współpraca ta zacieśniać się będzie nadal na jak najszerszej płaszczyźnie i w wyniku jej polski myśliwy łącznie z leśnikiem wzniosą trwały fundament doskonalszych zasad gospodarki łowieckiej.

Miło mi oznajmić przy dzisiejszej uroczystości, że Rada Państwa pod przewodnictwem Pana Prezydenta Bieruta w uznaniu zasług za wybitną pracę w dziedzinie łowiectwa przyznała odznaczenie państwowe dla szeregu działaczy Związku, dając tym samym wyraz, jak duże znaczenie przywiązują najwyższe czynniki państwowe do twórczej pracy Polskiego Związku Łowieckiego."

Po tym przemówieniu, przyjętym przez obecnych gorącymi oklaskami, Minister Leśnictwa, w imieniu Rady Państwa, udekorował zasłużonych na niwie łowieckiej działaczy w osobach: prof. Józefa Gieysztora, Józefa Skrzypka i Aleksandra Tallen-Wilczewskiego—złotym Krzyżem Zasługi oraz Mieczysława Mniszek-Tchorznickiego — srebrnym Krzyżem Zasługi.

Z kolei zabrał głos przewodniczący Kapituły Odznaczeń Łowieckich, Kol. H. Knothe. W słowach nabrzmiałych wzruszeniem przypomniał zebranym o zasługach, jakie w okresie odbudowy zamkniętego przez okupanta Polskiego Związku Łowieckiego położył prezes Związku Łowieckiego, generał dr Szarecki, po czym oznajmił, że w uznaniu tych zasług Kapituła Odznaczeń Łowieckich, na wniosek Rady Naczelnej, przyznała generałowi Szareckiemu najwyższe łowieckie odznaczenie—Złom. Moment dekoracji Złomem wywołał wśród obecnych żywiołową manifestację na rzecz Prezesa, który potrafił w ciągu dwu lat swego urzędowania zjednać sobie serca wszystkich.

Następnie generał Szarecki powiadomił, że Kapituła Odznaczeń Polskiego Związku Łowieckiego zakwalifikowała ponadto do odznaczenia około 300 członków Związku za ich wybitną działalność w szeregach zrzeszonego łowiectwa. Dekoracji grupy przybyłych spośród nich przedstawicieli w liczbie 30 osób, dokonał przewodniczący Kapituły Odznaczeń, Kol. H. Knothe.

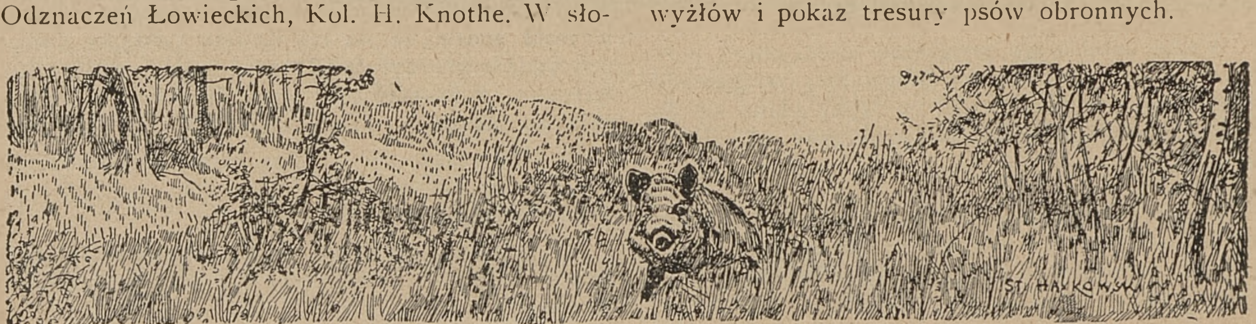
Wśród odznaczonych kolegów szesnastu otrzymało złote medale, ośmiu — srebrne i sześciu — brązowe. Pełny wykaz osób odznaczonych będzie podany w jednym z najbliższych zeszytów „Łowca Polskiego".

W wykonaniu ustalonego programu, wygłoszone zostały kolejno dwa referaty. Pierwszy pt. „Historia zorganizowanego łowiectwa w Polsce", wygłosił Kol. Zbigniew Kowalski, drugi pt. „Cele i zadania Polskiego Związku Łowieckiego", Kol. Mieczysław Mniszek-Tchorznicki.

Po wypełnieniu w ten sposób części oficjalnej programu, obecni zostali zaproszeni do obejrzenia dwu filmów łowieckich w realizacji Kol. W. Puchalskiego, pt. „Ptasia Wyspa" i „Polowanie zimowe w Białowieży". Pomimo, że poszczególne zdjęcia z obu filmów były reprodukowane w „Łowcu Polskim", wywołanie ich na ekranie nadało im taką barwę życia i taką plastykę, że oglądaliśmy je naprawdę z zapartym oddechem.

Obchód 25-lecia Związku zakończyła tradycyjna „lampka wina" dla gości oficjalnych, zaś wspólny obiad koleżeński — dla myśliwych, członków Związku.

Po przerwie odbyło się Walne Zgromadzenie członków, które, między innymi postulatami, uchwaliło uczcić 25-lecie Związku Łowieckiego zbiorowym „zlotem myśliwych" w dniu 19 września br. we Wrocławiu, gdzie w ramach Wystawy Ziem Odzyskanych odbędą się Międzynarodowe Zawody Strzeleckie do rzutków oraz wystawa psów myśliwskich, próby polowe wyżłów i pokaz tresury psów obronnych.



Dr. STEFAN RYBICKI.

LISTY Z PÓŁNOCNEJ RHODEZJI*)

I. Livingstone, 14 lutego 1948 r.

No, a teraz opowiem Wam od początku co się z nami działo.

Otóż w dniu, w którym Niemcy wkroczyli do Rumunii, my z drugiej strony Rumunii, tj. z portu Constanza wyruszyliśmy do Turcji, a stamtąd na Cypr. Podobno tam mieścił się legendarny raj, w każdym razie jest to najcudniejsze miejsce, jakie widziałem na ziemi. Gdy i tam Niemiaszków wzięła na nas ochota — wyjechaliśmy do Palestyny.

Po kilkutygodniowym pobycie zdecydowaliśmy wyjechać do Rhodezji, jako, że tam nas jeszcze nie widzieli, a poza tym Afryka, a w szczególności Afryka środkowa — to i mojej młodości, zdawało się, nie doścignione marzenia. A więc jazda dalej: do Egiptu, do Portu Suezu i dalej cudnym 34.000 tonowym statkiem „New Mauretania" przez morze Czerwone — zatokę Adeńską — Ocean Indyjski do Durban, to jest wielkiego portu południowo-afrykańskiego w Natalu. Stamtąd przez Natal, Transwal, Bechuana Land, Południową Rhodezję do Livingstone w Rhodezji Północnej, razem z grupą Polaków.

Stworzono zaraz szkoły, a ludzie, kto chciał i potrafił, pracowali.

Ja jestem w Afryce nie bardzo spokojnym duchem. Przede wszystkim strasznie lubię tam być, gdzie mnie jeszcze nie widzieli, a ponieważ Afryka jest bardzo duża, więc rzadko kiedy jestem w Livingstone widzialny, natomiast bez przesady, nieźle znam prawie całą Afrykę Środkową i Południową, a specjalnie Congo weszło mi w krew po prostu. W Congo byłem 4 razy, w Afryce Równikowej Francuskiej 2 razy, raz w Kamerunie, raz w Angoli — a to wszystko jest dopiero prawdziwą Afryką, i kto tam nie był — to Afryki nie widział. Prawda, że tam nie bardzo jest zdrowo, że biali, normalni ludzie nie wytrzymują tam więcej niż parę lub kilka lat — ale jest to cudo, o najbujniejszej florze i faunie, jaka chyba na świecie istnieje.

Pierwszy raz pojechałem do Congo w 1942 roku zaangażowany do wielkiej firmy bawełniano-kauczukowej. Dostałem przydział na prawdziwym końcu świata, gdzie jechałem z Lingvistone: 6 dni koleją, 11 dni statkiem, później znów 14 dni statkiem i 2 dni samochodem. Mieliśmy stamtąd 1.800 kilometrów do najbliższej stacji kolejowej, a do tej kolei, którą się jedzie do Rhodezji — 3.300 kilometrów, do poczty było 178 km., a do tej poczty samolot co dwa tygodnie przywoził pocztę. Do apteki było 1000 km. W powiecie tym o powierzchni około 180.000 km. kwadratowych, czyli prawie tyle co połowa Polski — było około 100 białych, a duża część tego powiatu nie była jeszcze w ogóle zbadana, a tylko z aeroplanów widziano, że było tam trochę bagien i jakieś wsie.

Okolica specjalnie bogata we wszelkiego rodzaju zwierzynę, a specjalnie słoni — nieprawdopodobne ilości. Z większych zwierząt moc hipopotamów, nosorożców, dalej bawoły, wielkie ilości różnych antylop i drapieżników.

Niestety, jednak klimat okropny, wilgotny upał, w nocy mgły. Wieczorem zdejmuje się z siebie mokre ubranie, które do rana nie wysycha, a w żelaznych kuferkach — których używa się w tamtych stronach — bielizna i ubranie zatęcha bardzo szybko, a wszystko co skórzane, pokryte jest zieloną pleśnią.

Moja praca polegała na tym, że na wielkim terenie kilkunastu tysięcy km2 organizowałem w stu kilkudziesięciu wsiach murzyńskich uprawę bawełny i zbiór kauczuku, z dziko rosnących w dżungli drzew kauczukowych. W ciągu czterech tygodni normalnie byłem 2—3 dni tylko w domu, to jest w dużym centrum Ubangi — Gemena, w którym mieszkało dziewięciu białych. Dróg oczywiście było tam bardzo mało, więc gdy obliczyłem sobie trasę na objazd, odwożono mnie ciężarówką do najdalszego punktu, gdzie była droga, a stamtąd wyruszałem karawaną: ja na „tipoju", to jest w lektyce, niesionej przez czterech murzynów, i przeważnie około 30 tragaży-murzynów, niosących moje bagaże, a więc łóżko wspaniałe polowe z pościelą i moskitierą, składany stół, krzesło, leżak, filtr na wodę, doskonałą lampę benzynowo-żarową, kufer „kantina" z kompletem urządzenia kuchni i jadalni, kufer z zapasami żywności, kufer z rzeczami osobistymi, dużą klatkę z moimi przyjaciółmi: Jasiem i Kaśką — szarymi papugami z czerwonymi ogonami, doskonale mówiącymi. Prócz tego było pięciu murzynów mego sztabu — fachowców i dwóch moich osobistych boy'ów. We wszystkich większych wsiach w Congo są prymitywne domy rządowe dla przyjezdnych białych, tam zatrzymywałem się w moich podróżach.

Niestety, w owych czasach ani w Rhodezji, ani w Congo nie można było dostać ani nic strzelającego, ani nabojów, gdy ktoś miał z czego strzelać. Ja w Livingstone miałem sztucer B.S.A. kal. 303, lecz ani jednego naboju. Cały więc rok włóczyłem się po ubangijskiej dżungli, widziałem tysiące zwierząt i ptactwa, lecz mogłem tylko marzyć o polowaniach.

Dopiero prawie po roku mego tam pobytu, pod sam koniec, gdy zabójczy klimat tego cudownego kraju już kompletnie zrujnował moją wątrobę — kupiłem przypadkiem sztucer Mauser kal. 9 mm. z nabojami i zapolowałem nieźle — lecz o tem dowiecie się z odpisu listu mego do mojej rodziny do Livingstonu, który przesyłam Wam jednocześnie.

II. W dżungli, 22 czerwca 1943 r.

Jak Wam zapowiadałem w poprzednim liście, robię teraz „propagandę uprawy bawełny i eksploatacji kauczuku" na końcu świata. W tej chwili jestem w najdalszym punkcie mej obecnej podróży. Przybyłem przed godziną zmoknięty do nitki, gdyż po drodze spotkał mnie tornado. Obecnie jestem przebrany, w swetrze (po tornado jest bardzo zimno), a w brzuchu mam jeszcze ciepłą kawę. Zaraz na początku pod-

---

*) Od jednego z kolegów otrzymaliśmy ciekawe listy od kuzyna, którego wojna zapędziła do Środkowej Afryki. Zamieszczamy je pewni, że zainteresują one naszych czytelników. Red.

róży miałem dość ciekawe przygody, które oto w krótkości Wam opowiem.

Z Gemeny wyjechałem 17 VI w południe, ciężarówką, wraz z moim „sztabem", siedmiu murzynami, bagażami i tipojem. Podróż obliczyłem na 3 tygodnie. Ciężarówka dowiozła mnie 85 km. do końca drogi, dalej, na ogromnej przestrzeni, są tylko dróżki murzyńskie między wsiami, a obok, na powierzchni około 15.000 km2 „są, jak mi powiedział rządowy administrator,— jakieś wsie, ale one nie przyjęły jeszcze europejskiej kultury". We wsi Bowakara, ostatniej przy drodze, zatrzymałem się na noc w przygotowanym dla białych ludzi domu etapowym. Na drugi dzień rano przybył do mnie czarny posłaniec i przyniósł kartkę, adresowaną do pana M., agenta rządowego, z którym często spotykałem się w dżungli podczas moich ciągłych podróży, treści następującej: „Drogi panie M., przybyłem dziś rano do wsi Bowara (15 km. od Bowakara) i dowiedziałem się, że pan jest w Bowakara. Ja zostanę tutaj 4 dni, a następnie pojadę do Bowakara. Czy pan nie przybędzie tutaj? Łączę panu, drogi panie itd. — podpisano G. (agent sanitarny). Przesłałem do pana G. przez tegoż posłańca list następujący: „Drogi panie G., to ja jestem w Bowakara. Jutro przyjadę do Bowara, a w poniedziałek pojadę dalej aż do Bobindu. Z przyjemnością spotkam pana w Bowara. Zechce pan przyjąć itd.".

Na drugi dzień rano pojechałem tipojem do Bowara. Po obiedzie, w trakcie rozmowy mówię, że w tych stronach jest podobno wyjątkowo dużo zwierzyny, że ja od dawna chcę kupić coś strzelającego, ale nie dostać nie mogę. Na to p. G. powiada, że istotnie polowania są tu wspaniałe, że on właśnie niedawno kupił sztucer i kilkadziesiąt nabojów, że jednak polowania są dla niego zbyt męczące i chciałby ten sztucer sprzedać za te same tysiąc franków (około £6), które zapłacił. Obejrzałem sztucer, jest to pięciostrzałowy Mauser wyrobu Kruppa, z szyną, białą muszką, z przyśpiesznikiem, lufa w niezłym stanie, kaliber 8 mm., nabojów 54. Zapłaciłem tysiąc franków, a ponieważ na wszelki wypadek miałem od dawna licencję na prawo polowania, a nazajutrz była niedziela, wezwałem kapitę (sołtysa) i pytam: „kto tu jest najlepszy myśliwy". Sprowadzają mi czarnego jegomościa. Wygląda dość bojowo. Pytam czy dużo jest zwierzyny w okolicy, powiada, że dużo. Z określeń myśliwego domyślam się, iż jest tam moc bawołów, wielkich antylop „końskich" oraz innych antylop i naturalnie ogromne stada słoni. 8 mm. to trochę za mały kaliber na bawoły, a o słoniach nie ma nawet co myśleć. Pytam myśliwego, kiedy jest lepiej polować: rano czy po południu,— powiada, że zawsze jest dużo zwierzyny.

Wyruszyliśmy o świcie: ja, czarny myśliwy z przedpotopową arabską strzelbą nabitą harpunem, pięciu czarnych z lancami i ośmiu czarnych tragarzy do niesienia, po czterech na dwie zmiany, mojej osoby w tipoju. Dżungli jest bardzo mało, są natomiast ogromne sawanny, porosłe bardzo gęstą, szerokolistną, ostrą trawą, wysoką do pasa, a miejscami do wysokości człowieka. Widzialność w sawannach jest bardzo mała, gdyż cały teren pokryty jest kopcami termitów, zbudowanymi zapewne przed tysiącami lat, wysokości do 10 m, o podstawie do 20 m średnicy. Kopiec od kopca o 50 do 100 m. Kopce porosłe trawą jak sawanna. Po trzech kwadransach podróży niewidocznymi prawie ścieżkami zwierzęcymi, byliśmy daleko w głębi sawanny. Mój czarny myśliwy co chwila wchodził na kopce termitów i rozglądał się w około, szukając zwierzyny.



Prowadzi *z serji nagrodzonej, fot. Z. Drzewicki*

W pewnym momencie myśliwy skulił się, zlazł z kopca i dawał mi znaki, abym szedł za nim. Skuleni podchodziliśmy, chowając się za kopcami, aż wreszcie myśliwy, wysuwając się zza kopca, wskazał mi skraj jakichś zarośli. Zobaczyłem stado bawołów, w ilości około 15 sztuk. Pasły się spokojnie i wyglądały zupełnie jak nasze bydełko rasy czerwonej, polskiej. Odległość około 200 m. Wybrałem ogromnego byka, wycelowałem, — paf! — stado poderwało głowy, pobiegło kilkanaście kroków, stanęło i patrzy w moją stronę. Wycelowałem po raz drugi, — paf! — stado wolnym galopem pobiegło i skryło się w zaroślach. Za daleko było — pomyślałem sobie.

Idziemy dalej. Ja znów siadłem do tipoju. Po kwa-

dransic myśliwy znów daje mi znaki z kopca — podszedłem i widzę wielką atylopę końską — stoi sobie w trawie i przygląda nam się z odległości około 80 m. Wycelowałem — paf! antylopa podskoczyła kilka kroków, stanęła profilem do mnie i patrzy; wycelowałem, paf! — pogalopowała i skryła się się za termitierą, a później widzieliśmy ją jak biegła sobie dalej. Po kilkunastu minutach myśliwy podprowadza mnie ślicznie za termitierami i pokazuje mi 4 antylopy końskie, pasące się w odległości 60 m. Wycelowałem do wielkiego samca — paf! — antylopy zdziwiły się i stojąc patrzą w naszą stronę, wycelowałem po raz drugi — paf! — moja antylopa i jeszcze druga pobiegły, pozostałe dwie patrzą dalej; wycelowałem — paf! — i te pobiegły sobie.

Co to jest? Czy sztucer do niczego, czy amunicja? Ja zawsze strzelam zupełnie nieźle i dziś przynajmniej cztery antylopy powinny dawno nie żyć. Oglądam naboje, szukam jakiegoś napisu na sztucerze, znajduję, lecz zabrudzony i przeczytać nie można. Próbuję kulę wsunąć do wylotu lufy, okazuje się, że naboje 8 mm są za małe, wchodzą do lufy zupełnie luźno, więc oczywiście po wystrzeleniu lecą sobie w zupełnie przypadkowym kierunku. Jestem wściekły, mój czarny myśliwy patrzy na mnie jak na fuszera, tłumaczę instruktorowi rolnemu z mego „sztabu", który zna język francuski, że naboje nie odpowiednie, pokazuję jak luźno wchodzą do lufy; myśliwy orientuje się, wracamy do domu. Po kilku minutach widzę antylopę końską — stoi na termitierze w odległości około 80 m. Co mi to szkodzi, podejdę bliżej. Z odległości 50 m strzelam — pobiegła gdzie chciała. Niech to licho weźmie! Jakże wspaniałe mogło być polowanie!

We wsi mówię do G., że naboje są nieodpowiednie i opowiadam co było. Powiada, że to nie możliwe, że on z tego sztuceru zabił perliczkę, a ktoś tam antylopę. Próbujemy strzelać do celu z odległośei 50 m — kule padają gdzie chcą i na płask. Zabieram się do czyszczenia sztuceru, odczyszczam napis na lufie: 27.9 G.B.R. „Panie G. — powiadam — widzi pan? „To chyba nie dziewiątka, powiada, — jakoś niewyraźnie widać".

Na drugi dzień wyjechałem, wciąż tipojem, do wsi Bosumaka, odległej o 15 km; pytam kapite czy jest myśliwy,—sprowadzają jegomościa i po obiedzie idziemy. Zagłębiamy się w sawannę; widzę, że przed nami, około 6 kilometrów od nas, sawanna pali się szerokim pasem; powiadam do mego instruktora, iż pewnie w tym kierunku nie będzie zwierzyny; instruktor porozmawiał z myśliwym i mówi, iż myśliwy twierdzi, że to nic nie szkodzi. Widocznie więcej jest warta afrykańska rutyna od mojego zdrowego rozsądku. Chodziliśmy około 2 i ½ godziny, widzieliśmy moc świeżych śladów bawołów i antylop, lecz żywego czworonoga nie spotkaliśmy jakoś.

Przed godziną piątą zobaczyłem na południowej stronie nieba małą chmurkę, w kształcie walca. Nie podobała mi się ta chmurka, więc pytam mego instruktora czy to nie tornado nadchodzi. „O, nie — odpowiedział. Po kilkunastu minutach z chmurki zrobiła się wielka chmura, zerwał się huragan, huczało, trzaskało, aż wreszcie lunęło zgoła po tropikalnemu. Nie trwało to dłużej jak pół godziny, lecz na moją potrzebę wystarczyło dwóch minut — abym był mokry do nitki. W „domu" przebrałem się, podjadłem uczciwie, zapaliłem swoją świetną lampę benzynowo-żarową i przeglądałem na werandzie ilustrowane tygodniki francuskie. Około godziny 20 na ulicy wiejskiej usłyszałem jakieś krzyki, a po chwili przyszedł mój boy i powiedział, że lampart porwał przed chwilą na drodze wiejskiej psa kapity, młodego brązowego psiaka, który w południe o mało nie zjadł mego Jasia (papugę). Wezwałem kapitę i ten pawiada, że „koj" zjadł mu psa. Pytam czy nie mają we wsi pułapki na lamparty,— powiada, że nie. Kazałem mu, aby do godziny 7 rano wycięto i przyniesiono do wsi około 200 kołków grubości jak ręka w przegubie, a długich około 2 m. Nazajutrz rano zniesiono do wsi drzewo i kilkunastu czarnych, pod moim i mego „sztabu" kierownictwem, zbudowało pułapkę.

Bobindu, 24 VI 1943 r.

Następnego dnia pojechałem tipojem na polowanie. W ciągu czterech godzin widziałem trzy pojedyńcze waterbuck'i, podchodziłem je, aby strzelać z bliska, lecz one pewnie orientowały się w sytuacji i uciekały zawczasu. W pewnym momencie spłoszyliśmy stado dzików, które z wielkim gwałtem uciekły nie widziane przeze mnie, ponieważ trawa była wysoka.

Nagle mój myśliwy, wchodząc na termitierę, skulił się i daje mi znaki. Obchodzimy, chowając się za termitierami. Myśliwy pokazuje mi na migi, że za następną termitierą jest „njama". Wychylam się zwolna: kilkanaście kroków przed zaroślami stoi o 60 m od nas wielka antylopa końska. Poczuła ludzi: podniosła głowę, węszy i patrzy w naszą stronę. Ja widzę tylko głowę i część szyi. Mierzę niżej głowy w szyję — paf! — zakotłowało się, — wielki samiec antylopy końskiej, którego z powodu wysokiej trawy nie widziałem uprzednio, skoczył kilkanaście kroków, stanął i patrzy na nas. Odrepetowuję karabin, — kula nie wchodzi do lufy, odrepetowuję drugi raz — nie wchodzi, trzeci raz — to samo. Mój myśliwy nie wytrzymał i wystrzelił ze swej przedpotopowej strzelby, — samiec antylopy końskiej skoczył i znikł w zaroślach, zaś mój myśliwy pobiegł na miejsce, gdzie stała antylopa, do której strzelałem. Zawołałem do niego „azari nyni"? (jest co?),— „azari mlasi na je" (jest żona jego). Podszedłem, wielka samica antylopy końskiej leży nie żywa, myśliwy na wszelki wypadek przebił jej przed chwilą szyję nożem.

Oglądam sztucer,— to łuska od naboju, nie pasując dobrze do lufy, rozerwała się przy strzale i kawałek pozostał w komorze wybuchowej — usunąłem go. Pozostawiłem czterech moich tragarzy i mego instruktora, a ja, razem z resztą czarnych idziemy dalej. Słońce, jak zwykle, szybko schyla się ku zachodowi. Mój myśliwy znów schylił się i daje mi znaki, schodzę z tipoju, podchodzimy. Na czubku nie bardzo wysokiej termitiery stoi antylopa. Podchodzimy ją zaroślami z prawej strony. — Odległość 50 m — wystarczy. Celuję, paf! Antylopa skoczyła w górę i upadła na wznak. „Akufi" (nie żyje) — zawołał myśliwy i pobiegł ku termitierze, rozgląda się wokoło, gdy podchodzę, powiada „azari te" (jest nie) — a następnie wskazuje mi na skraj zarośli. Celuję, paf! antylopa znikła w zaroślach. Ślady wskazują, że była ranna. Robi się ciemno, wracam do domu, myśliwy powiada, że „lubi na tongo" (jutro o 7 rano) powinniśmy ją znaleźć. W domu nie ma jeszcze mego instruktora z antylopą, posyłam mu jeszcze 4 ludzi, gdyż antylopa waży około 200 kg. O godzinie 22 słychać z daleka krzyki i śpiewy — niosą antylopę. Dziś rano po-

dzieliłem antylopę między moich ludzi, „mokundżi" (szefa szczepu) i kapite.

Myśliwy z dwoma ludźmi wyszedł o świcie szukać zranionej antylopy. O godzinie dziesiątej wraca jeden z wysłanych: „njama na ndżambo azari akufi" (zwierz w dżungli jest, nie żywy). Po chwili przychodzi znów jakiś czarny i coś do mnie mówi w języku „Blaka", którego nie rozumiem. Wołam instruktora, ten wysłuchuje przybysza, po czym skacze do góry i krzyczy. „Co się stało?" — To „mokundżi" ze wsi Bosumaka przysłał posłańca z zawiadomieniem, że dzisiejszej nocy lampart złapał się w pułapkę, którą zbudowaliśmy trzy dni temu. Posłaniec powiada, że lampart jest bardzo duży. Instruktor mówi mu, aby powiedział mokundżemu, że skóra „na mondele" (dla białego człowieka). Posłaniec krzywi się i mówi, że skóra bardzo podziurawiona. Czarny naród, widząc lamparta unieszkodliwionego w pułapce, oczywiście dziugał go lancami czy trzeba było czy nie trzeba. Dziś po południu przybędę do wsi Bosumaka — to zobaczę.

Bosumaka, 25 VI 1943 r. — wieczorem.

Druga antylopa okazała się także samicą antylopy końskiej. Mój „sztab" gotuje wciąż „njama" w wielkich glinianych garnkach i zjada bezustannie. Całe towarzystwo chodzi ociężałe z objedzenia, gdyż czarny naród nigdy nie opuści okazji, gdy tylko można coś zjeść, a „njamę" w szczególności. Jutro wszyscy będą chorzy na żołądki. Powiedziałem im, że tym razem soli angielskiej nie dostaną. Gdym dziś po południu wjeżdżał do wsi Bosumaka — cała ludność wylęgła, aby przyjrzeć się „mondele", który potrafi łapać „koj" (lampart). Mężczyźni stawali jak mogli najbardziej wyprężeni na baczność i przeważnie salutowali — co wyglądało niezwykle pokracznie. Całkowicie lub prawie nagie kobiety i dzieci — pootwierały jak najszerzej usta i oczy, następnie wszystko co żyło biegło za mną aż przed dom etapowy. Przybiegł też zdyszany „mokundży" i trzej kapitowie. Zrobiło się ciasno. Zapytuję mokundżego: „koj azari akufi?" (lampart jest, nie żywy), — „m akufi" (tak, nie żywy), „azari api?" (jest, gdzie?), „azari kuna" (jest, tam) — pokazuje w kierunku, gdzie zbudowaliśmy pułapkę. Idziemy. Lampart leży na ziemi, nogi przednie i nogi tylne związane, przez środek przetknięto drąg, gdyż mokundży miał go posłać do mnie do wsi Bobindu, gdy powrócił posłaniec z zawiadomieniem, że „mondele" przyjedzie po południu. Lampart, jest to wielki samiec: od czubka nosa do końca ogona 2 m 75 cm, na tułowiu kilka wielkich ran, ale skóra jeszcze możliwa. Łapy bardzo grube, z wielkimi pazurami. W buzi po dwa potwornej wielkości kły w każdej szczęce. Kazałem zdjąć skórę, oddzielić pazury i odciąć głowę. Mięso oddałem mokundżemu. Ciekaw jestem czy zjadł je sam, czy podzielił się z kimkolwiek.

Bosumaka, 26 VI 1943.

Przerwałem pisanie, gdyż przybył mój tutejszy myśliwy z wiadomością, że „njama monene azaro na ndżambo" (zwierz duży jest w dżungli). „Azari łapi?" (jest gdzie?), „azari kuna" — pokazuje w kierunku północnym. Nie wielem się dowiedział, a mam obawę, że to „kuna" (tam) może być strasznie daleko, wołam instruktora. Okazuje się, że njama jest nie tylko „monene", ale również „mingi" (duża) i, że są to bawoły. Obiecałem sobie poprzednio, że temi nabojami na bawoły polować nie będę, bo chciałbym jeszcze jakiś czas polować na tym świecie, ale nic nie szkodzi zobaczyć. Idziemy. „Kuna" okazało się około 3 km w sawannie, a że nie wziąłem tipoju, zmęczyłem się potężnie, bawoły zaś nie czekały na mnie — pewnie nie wiedziały o moim postanowieniu. Skóry lamparta i antylop suszą się rozpięte na ziemi, a głowa gotuje się, aby oddzielić mięśnie od czaszki. Kazałem jednemu czarnemu z mego „sztabu", aby poszukał we wsi rogów bawolich, gdyż potrzebne mi są do różnych wyrobów w połączeniu lub nie z kością słoniową. Obecnie czarny naród znosi całe masy rogów bawolich, rogów różnych antylop, a nawet zęby hipopotamów. Kupiłem pełne dwa worki — moi rzeźbiarze kości słoniowej w Gemenie będą zachwyceni. Jutro niedziela, kazałem więc tutejszemu myśliwemu, aby „lubi na tongo" (jutro o 7 rano) przyszedł z ośmioma tragarzami — pojedziemy szukać „njama na ndżambo". Mówiono mi dzisiaj, iż wczorajszej nocy chodziła po wsi lamparcica z małym, ale jakoś nie zajrzały do pułapki — to było by za dobrze.

Bosumaka, 28 VI 1943 r.

Wyruszyliśmy o świcie. Horyzont zasłonięty był, jak zwykle o tej godzinie, gęstą mgłą. Trawa w sawannie mokra bardzo, podczas marszu pryskała rosą tak, że po godzinnym marszu byłem do pasa mokry zupełnie. Zbliżyliśmy się do wielkiej kępy dżungli, położonej w dolinie. Czarny myśliwy powiedział mi, że nie daleko w dżungli jest „maj monene" (woda duża), i że teraz musi tam być „njama mingi" (zwierz duży). Idziemy. Myśliwy wprowadził mnie na ścieżkę zwierzęcą. Dżungla wysoka na około 60 m: drzewa przeróżne, palmy wielkie, drzewiaste paprocie, ljany, najrozmaitsze pnącze, krzaki i inne rośliny — splątane, zbite w jedną masę. Ścieżkę widać jedynie na ziemi — wyżej zbita zielona ściana. Pod naciskiem ściana ta rozsuwa się, posuwamy się zwolna naprzód. Wokoło zielony półmrok i wilgotny zapach różnych tropikalnych kwiatów. Ja szedłem na przodzie, za mną czarny myśliwy ze swą przedpotopową strzelbą, następnie trzech czarnych z lancami i paru tragarzy. Po kilkunastu minutach przedzierania się przez gąszcze, byłem mokry zupełnie oraz zmęczony porządnie. Zdala słychać było wrzask wodnego ptactwa, dżungla stopniowo zaczęła przeświecać, wreszcie rozsunąłem ostatnią warstwę roślin i wyszedłem na brzeg jeziora, lecz w tej chwili skamieniałem: na prawo w odległości około 10 m ode mnie stał słoń. Zobaczył mnie, natężył kark i trąbę, postawił uszy, przestępował z nogi na nogę i patrzył na mnie jednym, małym czarnym okiem. Kły miał nie bardzo długie, dziwnie brązowego koloru, mocno zakręcone do góry — w tej chwili lewy kieł wyraźnie wycelowany był we mnie. Za mną, z lewej i prawej strony usłyszałem szelest — to uciekali moi czarni. Zostałem sam. Błyskawicznym ruchem poderwałem do góry sztucer i strzeliłem w patrzące we mnie małe czarne oko. Słoń drgnął, wolno przechylił się w tył, naprzód i runął na lewą stronę, prawie pod same moje nogi. Uderzenia mego serca wyraźnie zatykały mi oddech w krtani. Z ucha i trąby słonia płynęła krew — kula dum-dum przebiła skroń, rozerwała mózg i zatrzymała się o wierzch czaszki. Słoń nie poruszył się więcej.

Długo wołałem i gwizdałem zanim z dżungli pokazały się najprzód czarne głowy, a następnie wyszli

moi czarni. Porwała mnie złość. „Jo njama, makak" (ty zwierz, małpa) — „psia krew". Dalszy ciąg mego do nich przemówienia odbywał się w polskim, ale bardzo szpetnym języku. Murzyni stali z pokornie pospuszczonymi głowami, z własnego doświadczenia przypuszczali, że „mondele" zaraz bić zacznie. Gdy skończyłem przemówienie i prawdopodobnie zmieniłem wyraz twarzy — murzyni podbiegli do zabitego słonia, skakali dokoła niego i wydawali różne okrzyki, z których zrozumiałem „njama, njama mingi, mingi" (mięso, mięso, dużo, dużo). Gdyby mnie tam nie było, na pewno rzuciliby się ze swymi wielkimi nożami i rąbaliby kawały mięsa, jak największe.

Kły okazały się bardzo ładne, choć nie bardzo wielkie. Każę z nich zrobić krokodyle, ale w ten sposób, aby pozostały jak najmniej zmienione; (wywóz kłów nieprzerobionych z Congo jest utrudniony). Mięso ze słonia już trzeci dzień jedzą i suszą murzyni z całej wsi. Na słonie można polować tutaj za licencją, która kosztuje 5.000 fr. (około £ 30), za dwa słonie, można też strzelać oczywiście do słoni w obronie własnej. Ja licencji na słonie nie mam, pewien jednak jestem, że rządowy administrator, gdy mu opowiem przebieg „zajścia"— uzna, że, mówiąc językiem raportów policji, „słoń przyjął w stosunku do mnie groźną postawę". Obecnie jestem już „myśliwym na najgrubszego zwierza". Wyobrażam sobie, jak bym był wysmarowany krwią mego pierwszego nieboszczyka słonia, gdyby tu był mój przyjaciel, jeden z najlepszych myśliwych w Polsce, inżynier M. D.

Bogbwindi, 9 VIII 1943 r.

Bardzo źle się czuję. Zabójczy klimat w tym cudnym kraju zrobił swoje: moja wątroba jest całkiem do niczego. Wczoraj zakończyłem całą pracę, którą wyznaczyłem sobie na cztery tygodnie. Dziś rano przybyła po mnie ciężarówka z Gemeny, zamówiłem ją na ten termin cztery tygodnie temu. Po przebyciu kilkunastu kilometrów powrotnej drogi „nawaliło" coś w motorze, więc czarny naród dopchał ciężarówkę do wsi, która na szczęście znajdowała się o parę kilometrów, a w dodatku jest tu dom etapowy — więc wygodnie sobie mieszkam zanim z Gemeny przyjadą po mnie.

J. Rybicki.

Dr. med. ROMAN RAFIŃSKI.

JEJ PIERWSZE KOZŁY

Smutno zapowiadał się w r. 1947 sezon kozłowy w naszym umiłowanym łowisku P. Od kilku bowiem miesięcy szalało niepohamowane kłusownictwo. Grupa kłusowników, nie bacząc na żadne zarządzenie władz, biła wszystko, co pod lufę wlazło. Strzały przewalały się po lesie, przyodziewającym wiosenną szatę godową.

Wkrótce po ujęciu kłusowników nastąpił surowy wyrok, mianowicie: szef grupy otrzymał 6 lat, reszta po 5 lat więzienia.

Niestety, piękna nasza knieja mocno już była wyludniona z przemiłego czworonożnego ludku leśnego. Tu i ówdzie spotykało się ostępy z dosyć dobrym zwierzostanem, lecz te niedobitki trzeba było jak najdalej oszczędzać.

Toteż uradziliśmy przeprowadzić w tym sezonie jedynie selekcyjny odstrzał kozłów, i to w dodatku jak najoszczędniejszy. Chodziło jedynie o kozły bądź to ranne, bądź to o kozły bez jakichkolwiek walorów hodowlanych. Postanowiliśmy odbić nie więcej jak trzy kozły, gdy w normalnych warunkach hodowla sama wymagałaby odstrzału około 12 kozłów.

Z gorzkimi więc refleksjami wyruszyliśmy w pierwszych dniach czerwca na objazd łowiska, by wybrać przeznaczone do odbicia kozły.

Wózek niósł nas szybko po dróżkach leśnych i z ogromnym uczuciem ulgi skonstatowaliśmy, że jednak „coś" się uchowało. Wracając, ustaliliśmy, które kozły odbijemy. Wyznaczyliśmy nasamprzód dwa. Jeden, któregośmy znali jeszcze z poprzedniego roku, a który leśniczemu p. K. był od lat kilku znany, winien być bezwzględnie odstrzelony ze względu zarówno na swój wiek, jak i na uwstecznione poroże. Kozioł ten lubił paść się na malutkim półku saradelowym i był niezwykle ostrożny. Drugi selekcyjny winien lec ze względu na swe bardzo brzydkie poroże, mianowicie nadmiernie wąsko ustawione i przy tym bardzo cienkie. Odstrzał postanowiliśmy przeprowadzić w następnym tygodniu, gdyż ze względu na nawał pracy jedynie popołudnia sobotnie i niedziele stały mi do dyspozycji na wycieczki leśne.

Nadeszła wreszcie upragniona sobota; nie mogę doczekać popołudnia i zachęcam moją towarzyszkę życia do pośpiechu.

W przemiłym nastroju dojeżdżamy z żoną do P. Po nieodzownym smacznym podwieczorku u pp. M., z otuchą myśliwską w sercach, ładujemy się na wózek, powożony przez poczciwego i bystrym okiem obdarzonego p. Bączyka.

Nasamprzód mamy zamiar wypatrzeć i odbić „tego cienkiego i wąskiego". Podjeżdżamy do łubiniska, na którym chętnie się ten koziołek wypasał, od strony zwartej, gęstej alei świerkowej. Moja Marysia jest „z lekka" podniecona, bo ma strzelać pierwsza i ma to być jej pierwszy koziołek. Co prawda uważa się za starego myśliwego, bo przecież ma już dwa pędzone dziki i to odyńce w ostatnim sezonie na rozkładzie, no i twierdzi, że nie będzie miała nieopano-

wanej emocji przy strzale do kozła. Nie przeczę naturalnie, lecz myślę i to „po cichutku", jak to w praktyce będzie wyglądało.

W pewnej chwili zauważyliśmy na brzegu łubiniska sylwetki wychodzących sarn. Skręcamy w aleję świerkową i pod jej osłoną zeskakujemy z wózka. Wychylamy się ostrożnie przez przejaśnienia między świerkami, by zbadać całe pasące się spokojnie towarzystwo. Mimo jeszcze dużej odległości, dzielącej nas od chmary sarn, stwierdzam, że jest w niej kozioł, którego szukamy. Więc dalej do dzieła; czasu nie dużo, gdyż słońce, strudzone całodziennym wysyłaniem błogosławionego ciepła matce ziemi, schyla się szybko ku zachodowi.

Widzimy z ukrycia, że sarny posiadają małe zainteresowania dla wózka, który mija wylot alei i blisko nich przejeżdża. Szybkim krokiem przesuwamy się aleją do miejsca, gdzie odległość będzie najmniejsza, a rozjaśnienie między świerkami pozwoli na strzał. Wbrew zasadzie (by nie spłoszyć zbyt głośnymi szmerami podchodu w dwie osoby) idę również z żoną, by jej być w chwili strzału pomocnym ewentualnymi wskazówkami i obserwować znakowanie kozła po strzale. Znajdujemy wreszcie małą lukę między świerkami i konstatujemy, że stado sarn jest odległe od nas około 80 metrów. Trzy koziołki, cztery sarny i trzy koźlęta tworzyły smacznie zajadające towarzystwo. Nasz wybrany stoi po lewej stronie.

Daję Maryśce znak, że czas strzelać. Luka między drzewami jest mała i niska, więc strzał możliwy jedynie z kolana. Powoli Maryśka podnosi broń do oka, celuje chwileczkę, widzę, że blednie, powieki drżą i pomaleńku opuszcza broń w dół. Oho! — myślę — będzie „krzywa" kula. Sztucer znowu wędruje do góry i widzę, jak końce luf ekspresa kreślą w luce świerkowej jakieś dziwne, nieczytelne arabeski. Uspokajam żonę, jak mogę, radzę momencik odpocząć i ponownie się złożyć. Szept mój widocznie podchwyciły czujne łyżki sarn, gdyż wszystkie skierowały swe śliczne łebki podejrzliwie w naszą stronę. To przyśpieszyło bieg wypadków.

Huknął donośnym echem strzał, wybawiający nas ze wzmagającego się z każdą chwilą napięcia nerwowego. Nie zdziwiłem się zresztą, gdy pod rogaczem wybuchła fontanna piachu, a zrykoszetowana kula, chichocząc złośliwie, pomknęła w nieznaną dal. Koziołek lekko podskoczył, przystanął ponownie, by z niezmiernym zdziwieniem popatrzyć w miejsce, skąd mu w tak niedelikatny sposób przerwano ucztę. Przystanęło w osłupieniu również pozostałe towarzystwo sarnie, by po chwili wahania w zgrabnych podskokach pocwałować z 200 metrów na lewo. Sarny chwilę przystanęły, popatrzyły jeszcze raz w naszym kierunku i dreptając niezdecydowanie kilka kroków w poprzednio obranym kierunku, rozpoczęły ponownie przerwaną ucztę na smacznym łubinisku. Maryśka blada z emocji, z nieopisanym zdziwieniem w oczach zwraca się do mnie z pytaniem — i co? Nic, odpowiadam, gładko chybiony.

Jednak nie dosyć jeszcze było goryczy myśliwskiej na dzień dzisiejszy dla Maryśki. Otóż widząc, że sarny pasą się dalej spokojnie, postanawiam je jeszcze raz podjechać, co też, opisując duży łuk, zrobiliśmy. Dojeżdżamy wąską drożynką do kępy starodrzewia, poprzez którą najbliżej było do sarn. Ześlizgujemy się formalnie z jadącego wózka i natychmiast chowamy się za najbliższą sosnę, gdyż sarny tym razem już podejrzliwie śledzą wózek. Kilkanaście ostrożnych kroków od sosny do sosny i już jesteśmy u brzegu drzewostanu, skąd nie dalej jak o 100 metrów drepczą niespokojnie sarny. Widocznie łączą turkot wózka z poprzednim niefortunnym strzałem żony. Dopinguję żonę do natychmiastowego strzału do kozła, który tym razem uplasował się po prawej stronie chmary. Marysia składa się stojąc, z oparciem o kryjącą nas sosnę. Długie celowanie; nerwowo wyczekuję strzału, a tu moja Marysia się odwraca i blada jak skazaniec szepce: „za skarby nie mogę, serce mam w gardle, cała się kiwam!"

Widzisz, mądralko, myślę sobie, jednak cię wzięło. „Strzelaj, odpowiadam, trzymaj na wysoką komorę". Huknął strzał, powtórzony stukrotnym echem w lesie, a kula, chichocząc szyderczo, kreśli długą, białą krechę w wilgotnym łubinisku nad powtórnie zdziwionym kozłem. Zdziwiły się i sarny, lecz na krótko i jazda, tym razem bezpowrotnie na ten wieczór, do najbliższej gęstwiny.

W tejże chwili słyszę: „— Bachu (tak się wabię w domu), „co znowu?" — „Nic, odpowiadam flegmatycznie, za wysoko, zgórowany!" — „Przecież kazałeś mi wysoko trzymać! To twoja wina, niepotrzebnie mi podsuwałeś swe uwagi" itd. Naturalnie znowu ja winien. Kornie wysłuchałem reprymendy i rzekłem, skandując możliwie wyraźnie: „— Kazałem trzymać wysoką komorę, a nie pół metra nad komorę". — „To w takim razie sztucer winien, replikuje podniecona Marysia, twój dryling naturalnie dobrze strzela i dlatego sam go używasz, a mnie dajesz „byle co" do ręki".

Złamana i zgnębiona żona wchodzi na wózek, ja za nią, naturalnie milcząco. Ruszamy zwolna przez otulony zmrokiem las do pp. M.

Przy smacznej kolacyjce trzeba naturalnie opowiedzieć wszystko od nowa: jak podjeżdżaliśmy, jak kozioł stał, jak kula poszła itd. Stary, wytrawny wszystkimi wodami myty myśliwy p. M., potrząsając w pewnych momentach niecierpliwie głową, wysłuchał wszystkiego i rzekł dobitnym głosem: „Na taki smutek należy się kapkę napić, by pani doktorowa przestała się martwić i ręczę — ani mucha nie porucha (jego znane wzdłuż i wszerz ulubione przysłowie), że następnym razem wręczę złom świerkowy pani doktorowej". Zrazu oponuję przeciwko „kapce". Po krótkich perswazjach, uległem. W wesołym nastroju kończymy kolacyjkę i dajemy drapaka do leśniczego p. K., by kilka godzin się przespać.

Wczesnym rankiem zrywamy się i w jak najlepszych humorach ruszamy do kniei. Dzień zapowiada się przecudny. Wschodzące słońce wyczarowuje bajeczne kolory na nieboskłonie. Las huczy formalnie od rozśpiewanego ptactwa, które jest tu, w nieprzebytych wprost gąszczach i haszczach, nieprawdopodobnie liczne. Obchodzimy las pieszo, wypatrując naszych koziołków. Jakoś ich nie spotykamy, natomiast te, które mają tworzyć rdzeń hodowlany naszego łowiska, prezentują się nam w najdogodniejszych pozycjach strzałowych. Jakby przeczuwały, że nic im z naszej strony nie grozi. Widzimy kilka sarn z koźlętami, które mnie najwięcej swym widokiem cieszą. W ogóle spacer przepiękny, widoki niezapomniane. Na oparzeliskach wstają leniwie mgły poranne, które jakby mlecznym welonem otulają z rzadka rozrzuco-

ne, przysadziste krzewy. Z dala przesuwa się w mgle bezszelestnie duży cień. To dzik, pojedynek, ciągnie z pól do lasu. Na strzał za daleko i widoczność w mgle zbyt słaba. Odprowadzamy go lornetkami do ściany świerków, w których ginie jak duch. Po chwili kilka bocianów w majestatycznym locie szybuje nad nami, a z dala słychać krzyk żórawi. Jeszcze widzimy kilka sarn, sennie zadumanych nad brzegiem lasu, a sami też trochę senni ciepłym porankiem, dochodzimy do auta.

Ruszamy jeszcze na objazd rewiru i po drodze serca nasze raduje czarujący widok. Pięć dobrze wyrośniętych warchlaczków zjawia się nagle tuż przed autem. Zatrzymuję prawie momentalnie maszynę, a te małe nicponie skaczą niby czarne piłki, to w lewo to w prawo. Harcując tak chwilę, giną w leśnej gęstwinie, by po chwili, jak z procy wystrzelone, przemknąć już bezpowrotnie w gęsty młodnik olszynowy, po prawej stronie drogi. Syci pięknych myśliwskich wrażeń wracamy w doskonałych nastrojach do leśniczówki. Dzień spędzamy na pobliskich spacerkach i na strzelaniu do tarczy z małokalibrówki, co jest ulubionym sportem Marysi.

Późnym popołudniem wyruszamy autem do odleglejszych części rewiru, gdzie nas oczekuje wózek z p. Bączykiem. Tym razem chcę popróbować szczęścia dla Marysi w innym miejscu, mianowicie tam, gdzie żeruje nasz wypatrzony „dziadzio". Podjeżdżamy od strony łąki, na której pasie się spokojnie sarna z młódką. Mijamy miły obrazek i zatrzymujemy się na skraju łąki. Daję instrukcję Bączykowi, by tak długo czekał, póki nie wrócimy, względnie, gdyby padł strzał, by podjechał do nas. Skośnie przez las, wybierając możliwie wilgotne miejsca, zaczęliśmy podchód w stronę małego pólka saradelowego, gdzie zwykle pasł się nasz „staruszek". Podchód niezwykle trudny, gdyż długa susza niewiele wilgotnych miejsc w lesie pozostawiła. Posuwamy się żółwim tempem, krok za krokiem, badając każde stąpnięcie, bo nasz upatrzony jest niesłychanie ostrożny. Nic więcej jak 15 minut tego podchodu tak nas zmęczyło, że byliśmy spoceni jak po kilku-kilomerowym marszu.



Z podjazdu *fot. A. Gaponow*

Wreszcie osiągnęliśmy jako taki wgląd na wspomniane pólko saradelowe. Z lewej strony pasła się spokojnie samotna sarna — nic poza tym. Stoimy chwilę, po czym daję żonie znak do dalszego podchodu. Zaledwie uszliśmy parę kroków, gdy równocześnie stajemy jak wryci; przed nami w odległości około 80 kroków pasie się druga sarna, którą poprzednio zasłaniało nam grube drzewo. Uważnie lornetkujemy całą widoczną część pólka. Nic prócz drugiej sarny. Nagle pod nią coś się poruszyło. „A to co?"— zwracam szeptem uwagę na moje spostrzeżenie żonie i sam bacznie przypatruję się.

Po chwili konstatuję, że to parostki i łyżki drzemiącego kozła.

W tym momencie zaskrzeczała nad nami sójka, co natychmiast poderwało kozła na nogi. Czyżby sójka chciała zwrócić uwagę sarnom na czyhające w lesie niebezpieczeństwo? Kozioł wprost kapitalny w budowie, prawie o połowę wyższy od swej towarzyszki. Lustruję parostki — to przecież on. Krótkie, grube, stożkowato uformowane parostki. Patrzy w naszą stronę długą chwilę, po czym zaczyna żerować. Widocznie nas nie dojrzał, gdyż kryjemy się za drzewem. „Strzelaj, mówię do żony, to ten". Tym razem dzierży ona moją niezawodnie celną trójlufkę. Żona się składa, widzę, że bardzo spokojnie, ale kozioł, jakby przeczuwając niebezpieczeństwo, przesuwa się poza sarnę, co uniemożliwia strzał. Długą chwilę ani na moment nie pokazuje łopatki. Marysia odkłada broń, bo diablo ciężka. Nagle kozioł zaczyna się truchtem ukośnie od nas oddalać. Okazuje się, że z lewej strony wysunął się młody, śliczny koziołek. Nasz wybrany podbiega do niego, przypatruje mu się podejrzliwie, by po chwili, jak gdyby z lekceważeniem, od niego się odwrócić. Odległość silnie wzrosła i nadal wzrasta, a ponadto kozioł jest stale widoczny od „lustra". Wreszcie zaczyna ponownie żerować i pomalutku pokazuje łopatkę.

Dodaję Marysi bodźca do natychmiastowego strzału. Składa się wolno, z podziwem patrzę na końce luf, które ani drgną. Czas najwyższy, bo dzień powoli kładzie się do snu; widzę ostatnie promienie zacho-

dzącego słońca, igrające na wierzchołkach drzew. Gęsty, zwarty las z naszej strony rzuca głęboki cień na pólko, a kontury pasących się sztuk zaczynają zlewać się z otoczeniem. Na domiar złego od strony łąk zbliża się nasz drugi wróg — mgła, która, jakby białym muślinem powleka podszyt lasu, leżącego na lewo od pólka saradelowego. Zniecierpliwiony stukam Marysię w plecy. Wie co to znaczy. „Trochę daleko", mówią jej usta. „— Nie szkodzi, trafisz, tylko prędzej", odpowiadam.

Po energicznych jej ruchach widzę, że w najbliższej chwili nastąpi ostatni akord w rozśpiewanym lesie, akord szorstki i okrutny. Potworny huk szarpnął usypiającym lasem. Rogacz, którego cały czas obserwowałem przez lornetkę, jak duch znikł mi z pola widzenia. — „Chyba trafiony", mówię do żony, przy czym obserwuję pólko czy przypadkiem jednak kozioł nie umyka. Nic nie widać. Trzeba podejść na miejsce strzału. Marysia niesłychanie podniecona, czerwona jak burak, mówi: — „Musi leżeć, tym razem dobrze trzymałam i celowałam na wysoką komorę". Idziemy szybko przez saradelę, a tu kozła ani śladu. Gdzie on do licha stał? Tu, czy tu? Przy tym zapadającym zmroku wszystko mi się pokręciło. Idziemy jeszcze dalej i nagle widzę w niewielkim zagłębieniu rudą plamę. — „Ot, tam go masz!" — krzyknąłem i pędem do leżącego. Zanim nadbiegłem, już Marysia, która mnie wyprzedziła, dzierży kozła za parostki. Ślepki jej się świecą szczęściem, jak dwa „złocone" w słońcu guziki. — „Czy to ten", pyta jeszcze wątpiąc?" — „Ten" odpowiadam, widząc ogromne, daszkowato ustawione róże. Parostki same niskie, zresztą jak u wstecznika. Chwytam możdżenie — niesamowity obwód (po wypreparowaniu obwód każdego wynosił 9 i pół centymetra). Radość żony naturalnie bezgraniczna, gratulacyjne buziaki bez końca, a poczciwy p. Bączyk, który na strzał podjechał, drapał się zapamiętale za lewym uchem, patrząc trochę zażenowany naszym wprost dziecięcym wybuchem radości. Żona, dumna ze swego wyczynu myśliwskiego, prosi bym odmierzył odległość. Odległość wcale ładna — 103 dużych, metrowych kroków, a kula idealnie na wysokiej komorze.

Zbieramy się szybko do ostatniej powinności myśliwskiej, mianowicie do patroszenia kozła, po czym siadamy na wózek i jazda w doskonałym nastroju do pp. M. Na stukot wózka już p. M. jest w drzwiach domu, spostrzega złom w czapeczce żony i z przyrodzoną mu niezwykłą życzliwością, gratuluje sukcesu. Okiem starego znawcy bada kozła i wydaje sąd po swojemu: „Z tym dziadem był najwyższy czas". To naturalnie niezwykłym zadowoleniem wypełnia duszyczkę myśliwską żony.

Pani domu uradowana sukcesem żony, nie wypuszcza nas jak zwykle bez smacznej kolacyjki. Bez „kapki" też się nie obyło — taka okazja! Rozumie się, że przy kolacyjce całą wieczorną wycieczkę przeżywaliśmy od nowa. Po kolacji ważymy jeszcze kozła. Wypatroszony miał 24 kg, co na nasze poznańskie stosunki jest już bardzo ładną wagą. Zbieramy się wreszcie i jedziemy do leśniczówki, by trochę się przespać, bo dnia następnego trzeba być wcześnie w Poznaniu.

W leśniczówce u życzliwych nam bardzo pp. K. znowu trzeba wszystko od początku opowiadać i po prostu nie ma końca radości. Późno już lądujemy w łóżeczku i wczesnym rankiem zrywamy się do powrotnej drogi. Niewyspany siadam do kierownicy i zawzięcie pośpiewuję, by nieopatrznie nie kulnąć się w objęcia Morfeusza i przypadkiem nie spotkać się w krainie wiecznych łowów z wczorajszym koziołkiem żony. Św. Krzysztof (kochany patron od szczęśliwej jazdy) zesłał szczęście przynoszącą podkowę, która utkwiła w lewej tylnej oponie, szczerząc, niby srebrne zębiska, swe hufnale w promieniach rannego słońca. Klnąc wszystkie szczęśliwe podkowy, gwoździe, samochody i co do tego należy, szamocę się z zażartymi śrubami, wymyślając ile wlazło mechanikowi, który je tak silnie przykręcił. Wreszcie uporałem się z tą udręką, siadam do wozu i mrucząc nadal arie operowe, co się bez protestów żony nie obyło, dobrnąłem wreszcie do garażu, gdzie tego „biesa" z ulgą zamknąłem. Obładowani jak wielbłądy strzelbami, lornetkami, lunetami, itd., dobiliśmy wreszcie do domowych pieleszy.

Szybko mijał czerwiec i lipiec, urozmaicony pięknymi wycieczkami myśliwskimi. Niejedno miłe spotkanie z dziczkiem utkwiło w pamięci. Kaczki, niestety, nie dopisały w tym roku na naszych terenach i tylko nieliczne „płaskodzioby" zawisły na trokach. W międzyczasie wypatrzyliśmy w M. koziołka, który z wyglądu ogólnego robił wrażenie chorego, a parostki, mimo, że był już koniec lipca, nosił jeszcze częściowo w scypule. Kozła tego miała odstrzelić żona, jako swego drugiego w tym sezonie.

W pierwszych dniach sierpnia, przy pięknej pogodzie, wybraliśmy się do M. Przyjechaliśmy na miejsce stosunkowo późno. Niedługo czekaliśmy, a już nasz koziołek, jakby utykając, wysuwa się z pobliskich krzewów i przystaje na chwilę w odległości około 100 metrów. Żona chwyta broń, która stała oparta o pobliskie drzewo, składa się szybko i posyła śmiercionośną kulę. Koziołek jak gromem rażony pada, by po małej chwili wstać ponownie. Zwraca się następnie w naszym kierunku i silnie utykając, zbliża się do nas na około 50 metrów, by powtórnie paść. — „Leży, — powiadam do żony — chodźmy do niego" Niestety, za wcześnie podeszliśmy, gdyż nagle przed nami się zerwał i dosyć szybko zaczął się oddalać. Nie namyślając się długo, zerwałem z ramienia dryling i w biegu posłałem mu drugą kulę, po której przebiegł jeszcze kilka kroków, by już ostatecznie paść. Kozioł naturalnie żony, gdyż jej kula uderzyła w komorę, lecz zbyt nisko, moja natomiast wypruła mu wszystkie wnętrzności. Zrozumiałem jest, że moja dodatkowa kula zepsuła trochę satysfakcję żony, ale i tak radość była wielka. Kozioł okazał się chorowity, niezmiernie wychudzony, z kępami zachowanej zimowej sierści.

R. Rafiński.

EDWARD FRANKIEWICZ.

Istotni sprawcy wyniszczania zwierzyny łownej

Pod wrażeniem przeczytanego artykułu inż. Karola Ringa w nrze 4 „Łowca Polskiego" z kwietnia br., postanowiłem, stosownie zresztą do życzenia autora artykułu, zabrać głos na łamach naszej prasy łowieckiej, aby, stając w obronie drapieżników, do tępienia których nawołuje inż. Ring, przeciwstawić się fałszywym poglądom wielu myśliwych polskich. Skutki tych poglądów mogą przynieść niepowetowane szkody nie tylko łowiectwu, lecz ogólnej naszej kulturze narodowej i gospodarce społecznej. Dla uniknięcia nieporozumienia wyjaśniam, że drapieżnikami nazywam dzikie zwierzęta mięsożerne, ptaki i ssaki, nie zaś włóczące się psy i koty, które oznaczam mianem szkodników.

Nie chcąc spotkać się z zarzutem teoretyzowania i nieznajomości terenowych stosunków łowieckich lub obecnej rzeczywistości, podaję, że wprawdzie nie jestem leśnikiem i mieszkam w mieście, lecz od dwudziestu kilku lat pracuję w administracji lasów państwowych. Poluję od przeszło trzydziestu lat i każdą wolną chwilę spędzałem i dziś również spędzam w kniei lub polu, ze sztucerem, strzelbą albo tylko laską, zależnie od okoliczności, jednak zawsze z gorącym pragnieniem i zamiarem podpatrzenia przyrody i poznania jej praw i tajników. Były takie lata przed ostatnią wojną, że w ciągu roku spędziłem około stu dni na polowaniu, licząc w tym, oczywiście, wszystkie wycieczki myśliwskie na ciągi, toki, rykowiska itp.; poza tym, jako łowczy jednego z kółek myśliwskich, wyjeżdżałem często na kontrolę terenów łowieckich. Przy sposobności czy to polowania, czy kontroli terenów, przebywałem na łonie przyrody w różnych porach roku i doby; skrzętnie notowałem wszelkie osobiste spostrzeżenia, wysnuwałem wnioski i potem szukałem potwierdzenia ich słuszności w dziełach i artykułach znanych przyrodników i myśliwych lub w osobistych rozmowach z nimi. Obecną rzeczywistość łowiecką znam również dobrze jak i przedwojenną. Biorąc czynny udział od marca 1945 r. przy organizowaniu Oddziału P.Z.Ł. w województwie kieleckim i pracach Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, poznałem aż nadto wszystkie dzisiejsze cienie gospodarki łowieckiej.

Na podstawie własnych doświadczeń, jak również „doświadczeń i zdobyczy postępu łowiectwa i nauk przyrodniczych z ostatnich stu lat", na które powołuje się autor artykułu „O konieczności zorganizowanej walki z drapieżnikami", ośmielam się twierdzić, że myśliwi wkroczyliby na błędną drogę, gdyby usłuchali nawoływania do tępienia drapieżników.

Nie chcę urazić autora artykułu, lecz zmuszony jestem ostrzec przed wzorowaniem się na błędach popełnionych przez Niemców przed kilkudziesięciu laty, do których sami się przyznali, dając temu wyraz w najnowszej literaturze przyrodniczo-łowieckiej oraz w prawie łowieckim Trzeciej Rzeszy Niemieckiej. Przestudiowałem to prawo, opracowując jeszcze latem roku 1945 wnioski do nowelizacji naszego prawa łowieckiego i byłem poniekąd zdziwiony, że właśnie Niemcy otoczyli w dużym stopniu opieką prawną zwierzęta drapieżne. Czytając szereg najnowszych łowieckich dzieł autorów niemieckich, znalazłem tam również właściwy stosunek myśliwego do świata przyrody. Powołuję się na Niemców jedynie dlatego, że inż. Ring zaleca wzorowanie się na nich. Nie są bowiem dla mnie obce również zdobycze nauki polskiej, powaga której zupełnie mi wystarcza.

Nie będę mówił o biologicznej roli drapieżników w przyrodzie, gdyż o tym pisano już wiele przed wojną i głos w tej sprawie zabierały i zabierają dziś powagi naukowe i świata łowieckiego, lecz pragnę zwrócić uwagę, że:

a) hasło „tępienia" drapieżników stoi w wyraźnej sprzeczności z ideologią Polskiego Związku Łowieckiego i jego statutem.

b) Większość drapieżników czworonożnych, w tej liczbie lis, stanowi cenny i pożądany obiekt łowiecki.

c) Nie tylko zwierzęta roślinożerne, lecz również drapieżniki są ozdobą naszego krajobrazu; poza tym większość czworonożnych drapieżców, jako zwierzęta futerkowe, przedstawiają dużą wartość gospodarczą, nie mniejszą od roślinożernych, z których pozyskujemy mięso.

d) Za zbrodnię popełnioną przez człowieka, „najdoskonalszej istoty na ziemi", który wyniszczył w ciągu zaledwie paru lat bogate zwierzostany roślinożerne, powodowany jedynie żądzą mordowania, nie wolno skazywać na zagładę zwierząt drapieżnych tylko dlatego, że przyroda każe im żywić się mięsem, a „pan przyrody" chce uprawiać sport, strzelając do żywych tarcz.

e) Przez wytępienie zwierząt drapieżnych równowaga biologiczna zostanie zachwiana więcej niż dziś przez niewłaściwy stosunek ilościowy poszczególnych gatunków zwierząt.

f) Szkodliwość wszelkich zwierząt jest bardzo względną, zależnie od tego, w stosunku do jakiej gałęzi gospodarki ludzkiej będziemy szkody rozpatrywać.

g) Myślistwa nie można utożsamiać ze sportem strzeleckim.

h) Istotnymi sprawcami wyniszczania zwierzostanów roślinożernych nie są bynajmniej dzikie drapieżniki.

Twierdzenia zawarte w punktach od a) do d) nie wymagają wyjaśnień, omówię natomiast szerzej następne.

W ubiegłym wieku i na początku obecnego hołdowano, szczególnie w Niemczech, teorii „poprawiania przyrody". W oparciu o tę teorię niszczono lasy, tępiono zwierzęta, szpecono krajobrazy. Klęski, spowodowane naruszeniem równowagi biologicznej, zmusiły człowieka do rewizji swego stosunku do przyrody. Obecnie leśnik stara się odtworzyć lasy o charakterze pierwotnych puszcz, wielogatunkowe i wielopiętrowe, a pojęcie „chwastów leśnych" znikło. Okazało się, że opylanie z samolotów równowiekowych, uszeregowanych na glebie bez podszycia zagajników sosnowych, pożeranych przez gąsienicę barczatki czy innych motyli, nawet w części nie może zastąpić wytępionych ptaków i zwierząt; dając bardzo nikłe wyniki, zbyt drogo kosztuje i nawet przynosi szkodę, zatruwając zwierzęta dzikie i domowe. Osuszanie bagien

dało również nie wszędzie spodziewane korzyści. Leśnik nawrócił z błędnej drogi. Czyż zatem jedynie myśliwy polski będzie uparcie trwał przy błędach popełnionych przed stu laty przez myśliwych niemieckich? Dlaczego nie chcemy poznać zdobyczy nauki przyrodniczej i gospodarki łowieckiej ostatnich dziesiątków lat? Stosując szeroko „tępienie" drapieżników nie tylko nie odrodzimy sarny, zająca i kuropatwy, lecz właśnie dojdziemy do tego, czego tak inż. Ring się obawia: do polowania „na modłę francuską i włoską".

W przyrodzie panuje biocenoza, czyli wzajemna zależność wśród nie tylko poszczególnych gatunków zwierząt lub roślin, lecz również pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym. Dlatego też przyroda nie zna innych „szkodników" poza człowiekiem. Dopiero w odniesieniu do poszczególnych gałęzi gospodarki ludzkiej, dzielimy rośliny i zwierzęta na pożyteczne i szkodliwe. Dzik jest pożyteczny dla leśnika, szkodliwy dla rolnika; jeleń i sarna wyrządzają duże szkody w sztucznie sadzonych lasach, poza tym jeleń jest szkodnikiem polnym; zając zimą jest bardzo niepożądanym gościem w sadach; na bażanty skarżą się ogrodnicy, hodowcy jarzyn; lis sieje spustoszenia w kurnikach i bażantarniach, lecz równocześnie tępi drobne gryzonie, jak myszy itp. Wiewiórka zjada jaja ptasie i pisklęta; wydra i czapla są znienawidzone przez rybaka, który również nie obdarza miłością nie tylko perkozów i łysek, ale nawet kaczek; jastrząb jest prześladowany zarówno przez myśliwego jak i gosposię wiejską; wrona jest szkodliwa dla łowiectwa i drobiu gospodyń wiejskich, natomiast oddaje usługi rolnikowi , wybierając pędraki i inne robactwo; gronostaj i łaska zjadają kuropatewki i zajączki, lecz są sprzymierzeńcami rolnika i leśnika, tępiąc szczury, myszy i inne gryzonie. Któreż więc gatunki zwierząt są pożyteczne, a które szkodliwe?

Ci myśliwi, którzy pragną rozmnożyć i zachować wyłącznie drobną zwierzynę roślinożerną: zająca, kuropatwę, bażanta i ostatecznie sarnę, zasługują moim zdaniem, na miano „strzelców", którzy znajdują upodobania w strzelaniu do dużej ilości ruchomych, żywych tarcz, przeżywając wzruszenia wyłącznie strzeleckie. Wzruszenia bowiem myśliwskie wywołuje nie tylko trafny strzał, lecz przede wszystkim obcowanie z przyrodą, możliwie zbliżoną do pierwotnej, na łonie której człowiek, obdarzony instynktem łowieckim oraz, również prawiecznym jak ten instynkt, poczuciem piękna, przeżywa wzruszenia swych dzikich praojców. Któż zatem jest istotnym szkodnikiem łowieckim?

W zupełności podzielam poglądy autora artykułu, który skłonił mnie do tych wypowiedzeń, że należy prowadzić bezwzględną walkę z kłusownictwem, wnykarstwem i sidlarstwem oraz tępić wszelkimi sposobami włóczące się psy i koty, które osobiście uważam za znacznie gorszą plagę od trzech poprzednich. Natomiast nigdy się nie zgodzę na „tępienie" dzikich drapieżników. Jeżeli myśliwy-hodowca stwierdzi nadmiar tego czy innego gatunku skrzydlatych lub czworonożnych drapieżców, winien zarządzić i dokonać wzmożonego odstrzału w czasie nie tylko przez prawo łowieckie, lecz przede wszystkim etykę myśliwską dozwolonym, ale nigdy w okresie lęgowym. Jeśli chodzi o jastrzębie-gołębiarze i krogulce lub wrony siwe i sroki, które, nie stanowiąc wartości łowieckiej, w razie występowania w większej ilości, dziesiątkują drobną zwierzynę, należy odstrzelić je wczesną wiosną, póki jeszcze nie wykluły się pisklęta. Do tego celu służy najlepiej puchacz, jak to redakcja „Łowca Polskiego" w przypisku swoim zaleca, którego, niestety, obecnie nie tak łatwo zdobyć i utrzymać.

Drapieżniki czworonożne, jak: lis, wydra, kuna, borsuk, gronostaj, łaska, nie mówiąc oczywiście o rysiu, niedźwiedziu, żbiku i norce oraz wszystkie skrzydlate, winny mieć w okresie lęgowym ustawowy czas ochronny. Nawet wilk winien, w niewielkich wprawdzie ilościach, znaleźć miejsce w niektórych przynajmniej łowiskach. W razie nadmiaru tych drapieżników należy przeprowadzić wzmożony odstrzał w jesieni i w zimie, kiedy polowanie na te zwierzynę da nam dużo wzruszeń łowieckich, skórka zaś czworonożnych drapieżników stanowi wartość nie tylko dla myśliwego, lecz również dla gospodarki ogólnokrajowej. Strzelanie lisów, zarówno szczeniąt jak i starych, w okresie wiosennym i letnim lub łowienie ich w żelaza, nie jest godne członka P.Z.Ł. Odstrzał drapieżników, dokonany zgodnie z etyką myśliwską, nie przyczyni się do wytępienia gatunku, lecz będzie pomagać w utrzymaniu równowagi biologicznej, dając jedno-



Na stawie w Podsadkach *fot. J. Błeszyński*

cześnie sposobność do przeżywania wzruszeń myśliwskich.

Słuszność takiego poglądu na sprawę szkodliwości drapieżników potwierdziły moje osobiste doświadczenia, zarówno przedwojenne, jak i obecne. Na terenach kółka, gdzie prowadziłem i prowadzę gospodarkę, nie wolno tępić żadnych drapieżników dzikich, pomimo to, zarówno przed wojną jak i teraz, tereny, które były w chwili wydzierżawiania zupełnie pozbawione zwierzostanów, stały się w ciągu kilku zaledwie lat, bez żadnego sztucznego zasiedlania, jednymi z lepszych. Równolegle z ilością lisów i zapewne innych drobnych drapieżców zwiększa się ilość zajęcy, sarn, cietrzewi, kuropatw. Tępimy za to wszelkimi sposobami włóczące się psy i koty oraz utrzymujemy strażników łowieckich, których obowiązkiem jest przede wszystkim zbieranie sideł i wnyków. W rozmnoży zwierzyny zainteresowaliśmy straż łowiecką, wypłacając jej dość wysokie premie od sztuki ubitej na polowaniu zwierzyny oraz specjalne premie za ogólne wyniki ochrony.

Wyniki pracy hodowlanej byłyby znacznie lepsze, gdyby można było wprowadzić w życie zupełny zakaz wypasu bydła w lesie. O tej pladze inż. Ring nie wspomina. Twierdzę, że wypas bydła w lesie jest plagą może nawet gorszą od psów i kotów, gdyż nie tylko samo bydło wyrządza szkodę, niepokojąc zwierzynę i siłą rzeczy odbierając jej naturalną paszę, lecz dzieci-pastuchy, włócząc się przez cały dzień po krzakach i łąkach, niszczą olbrzymie ilości gniazd i młodzieży czworonożnej i skrzydlatej.

Kto nie przebywa częściej w okresie wiosenno-letnim na wsi, w kniei i polu, ten nie wyobraża nawet sobie ile gniazd, jaj, piskląt, młodych jeleni, sarn, zajęcy, lisów zostaje zniszczonych corocznie przez ludność wiejską, szczególnie dzieci. Przyczyną stałego zmniejszania się ilości ptactwa wodnego i błotnego jest głównie niszczenie gniazd przez młodzież wiejską. Również ptactwo i czworonogi, lęgnące się w lesie, cierpią bardzo od tych szkodników, natomiast w polach plaga ta daje się mniej odczuć. Tłumaczyć to należy tym, że właśnie w okresie lęgów pastuszek przebywa w lesie lub na łąkach i plądruje tam przez cały dzień, natomiast ze względów zrozumiałych nie chodzi w tym czasie po zasianych łanach, bo spotkałby się ze sprzeciwem gospodarzy wiejskich.

Walka z tą plagą jest bardzo ciężka, gdyż nawet w przypadku złapania winowajcy na gorącym uczynku trudno uzyskać w starostwie wymiar sprawiedliwości. Jedynym sposobem jest propaganda, lecz do tego potrzebni są odpowiedni ludzie, szczególnie wśród nauczycielstwa. Niestety, ludzi takich jest bardzo mało. Brak zainteresowania sprawą ochrony przyrody wykazują nie tylko poszczególni nauczyciele szkół powszechnych, nie tylko inspektorzy, lecz nawet kuratoria. Twierdzenie to nie jest gołosłownym. Jako czynny członek Wojewódzkiej Rady Łowieckiej próbowałem bezskutecznie wywołać u władz szkolnych zainteresowanie tą sprawą większe niż nakazuje to zwykły urzędowy obowiązek. Pomocnym w zwalczaniu tych przestępstw może być również duchowieństwo, lecz, niestety, niewielu księży interesuje się przyrodą.

Na zakończenie chcę jeszcze poruszyć sprawę zaopatrzenia funkcjonariuszów administracji lasów państwowych w broń myśliwską. Po wojnie wytworzył się nowy typ kłusownika-leśnika. Wielu leśniczych i gajowych, zachęconych bezkarnością przestępstw łowieckich, popełnianych w pierwszych latach powojennych uprawia ten proceder i dziś wybija resztki zwierzyny. Kontrola terenowych funkcjonariuszów leśnych jest bardzo trudna.

Nie wiele pomogły zarządzenia władz o rejestracji broni, gdyż większość leśników broni nie zarejestrowała, lekceważąc sobie oczekującą ich za to karę. Ci zaś, którzy broń zalegalizowali, mogą, jeśli zechcą, polować kiedy i gdzie kto chce. Nie zgadzam się przeto z twierdzeniem inż. Ringa co do potrzeby uzbrojenia leśniczych i gajowych w broń myśliwską. Dla celów obrony osobistej funkcjonariusze leśni winni otrzymać krótką broń kulową, co obecnie, niestety, jest jeszcze niewykonalne.

Broń myśliwską mogą posiadać tylko ci leśniczowie i gajowi, którzy są członkami P.Z.Ł. oraz zalegalizowanych kółek łowieckich. Dyrekcje Lasów Państwowych winny przydzielać tak zwane tereny administracyjne nie nadleśnictwom lecz kółkom myśliwskim, zorganizowanym z personelu nadleśnictw i zarejestrowanym w Urzędzie Wojewódzkim i Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej. Kółka takie, podlegając kontroli P.Z.Ł., dają do pewnego stopnia rękojmię wprowadzenia dyscypliny wśród swoich członków oraz ukrócenia ich samowoli. Przy najmniejszych jednak poszlakach, że dany leśnik kłusuje, strzelba winna być mu odebrana.

Niestety, jeszcze nie każdemu leśnikowi można dziś powierzyć z całym zaufaniem opiekę nad zwierzyną i sądzę, że jeszcze nieprędko to nastąpi.

Inż. Edward Frankiewicz.

OD REDAKCJI.

Sprawa ochrony zwierzyny drobnej jest dziś sprawą palącą. W rozumieniu konieczności rozwiązania jej w sposób możliwie wielostronny — jak wielostronnymi są przyczyny, powodujące zmniejszenie pogłowia zajęcy, kuropatw, kaczek — zamieściliśmy na ten temat szereg artykułów, że wskażemy tu, poza omawianym artykułem kol. K. Ringa, „Kilka uwag poświęconych naszym drapieżnikom skrzydlatym"— E. Raszke (nr 5), „Walka z kłusownictwem w świetle prawa"— J. Oświecimskiego, „Łowiectwo a młodzież" —W. Bieli (nr 9).

Dając z kolei studium kol. E. Frankiewicza, jednego z naszych wybitniejszych terenowych działaczy łowieckich, z wywodami którego całkowicie się godzimy, pozwalamy sobie uczynić jedno tylko zastrzeżenie. Zorganizowana „walka z drapieżnikami" nie ma nic wspólnego z ich „wytępieniem". Usunąć nadmierną ilość drapieżników, powstałą wskutek nienormalnych warunków powojennych, jest koniecznością, ale „wytępić" je było by zbrodnią — gdyby było wykonalne. Przypuszczamy, że nacisk, położony przez kol. E. Frankiewicza na wyraz „wytępić", jest raczej zwrotem retorycznym niż zarzutem konkretnym pod adresem kol. Ringa, względnie redakcji, której ustosunkowanie się do zagadnienia ochrony przyrody jest dostatecznie znane.

STEFAN MILER.

NIEDŹWIEDZIE W ZAMOŚCIU

Czytelników „Łowca Polskiego" zajmie pewnie fakt, że w Ogrodzie Przyrodniczym w Zamościu, istniejącym już około 30 lat, żyje para niedźwiedzi, która od 1932 r. do 1948 r. włącznie, wydała na świat 25 sztuk potomstwa. Jest to rzecz niezwyczajna w ogrodach zoologicznych. Stary już obecnie niedźwiedź brunatny został nabyty dla zamojskiego „Zoo" przeze mnie w roku 1928 jako sześcioletni samiec w Hamburgu; samica zaś tego samego gatunku przybyła w 1929 r. jako trzyletnia, z Poznania. Taka była łagodna, że przez pierwsze dwa lata już jako dorosła była brana na łańcuch i prowadzona do stawku w ogrodzie do kąpieli; zachowały się jeszcze fotografie z tych czasów, jak przyszła matka niedźwiedziego rodu, pluszcze się z rozkoszą, trzymana za łańcuch wobec licznych widzów, przeważnie młodzieży szkolnej.

W 1931 r. w maju przeszła pierwszy okres rui. Nic nie wskazywało na konsekwencje tego stosunku z mi-



Niedźwiedzica z młodemi w Zamościu

sJem. Ja sam nie byłem pewny ich realnego wyniku, tym bardziej, że niektórzy z biologów, na którymś ze zjazdów w Poznaniu twierdzili stanowczo, że niedźwiedzica nie będzie miała potomstwa, gdyż nie ma odpowiednich, zbliżonych warunków do natury; że niedźwiedzica raczej pożre swój pomiot niż będzie skłonna go wykarmić i wychować, bez posiadania choćby sztucznej gawry. A, no! czekałem rezultatu rui a wiedząc, że młode przychodzą na świat zimą, odseparowałem niedźwiedzicę od niedźwiedzia do przybudowanego naprędce pomieszczenia, zakończonego mocną i mroczną komórką. Było to w grudniu. Nic nie wskazywało na stan ciąży, dla pewności jednak do komórki dałem dużo siana i słomy oraz liści, aby niedźwiedzica z ewentualnymi młodymi miała dość ciepła w czasie zwiększających się mrozów. Codzienna obserwacja podtrzymała moje nadzieje doczekania się potomstwa u niedźwiedzicy. Stwierdziłem bowiem, że daleko więcej jadła (chleb, owoce) niż niedźwiedź, jakby na zapas, a następnie, że gdy podrzuciło się trochę słomy na wybieg zaraz ją łapami zgarniała do swego legowiska. Wobec tego nie żałowałem ani jedzenia, ani słomy czy suchych liści; niedźwiedź zaś kontentował się normalną porcją słomy i nie reagował na podrzuconą na wybieg wiązkę, ale bawił się nią, rozrzucał, nie dbając o cieplejsze legowisko, jak samica. Nawiasem dodam, że niedźwiedzie w niewoli, mając jedzenie do dyspozycji, nie wpadają w sen zimowy; najwyżej w czasie bardzo silnych mrozów leżą w pewnym odrętwieniu, wychodzą jednak codziennie na wybieg dla załatwienia swych spraw fizjologicznych i dla żeru; jedzą jednak wtedy mniej.

Nastał styczeń 1932 roku. Samica zagrzebała się całkowicie w sianie; w dzień przestała wychodzić; rankami jednak zjadała swój chleb i marchew, pozostawiała odchody i zaraz szła ociężała do legowiska; koło 20 stycznia nie ruszała chleba przez 3 dni; bałem się czy nie zachorowała. Pamiętam, że rzucałem bułki z miodem i owoce przez parę następnych dni, ale i tego nie ruszyła. Niepokoiłem się. Jeżeli chora, jak leczyć? Pozostawiłem więc ją własnemu losowi, podrzucając, z porady starego nadleśnego z Polesia, młodych pędów żywicznych sosny i świerku.

Aż oto 25 stycznia, gdy przechadzałem się na korytarzu szkolnym po pierwszej lekcji, zagadnął mnie dyskretnie jeden z mych uczniów i szeptem obwieszcza mi radosną nowinę, że przez ścianę komórki z legowiska niedźwiedzicy słychać cmokania i piski.

Był to Józef Kotowski, moja prawa ręka w sprawach „Zoo", który z zamiłowania pomagał mi w pracy, a często wyręczał mię doskonale w wypadkach wyjazdów poza Zamość.

Jego zapewnieniom uwierzyłem z biciem serca, zabroniłem zaraz rozgłaszać o tym radosnym zdarzeniu i postanowiłem zachować je przez dłuższy czas w tajemnicy, aby nie stało się nieszczęście, by podrażniona wrzawą ciekawych samica nie pożarła małych swych pociech. Wysłałem więc Kotowskiego do dozorcy, by nikomu nic nie mówił o urodzeniu się niedźwiadków i nikogo do ogrodu nie wpuszczał. Byłem jednak tak oszołomiony tą miłą wieścią, że zaraz pobiegłem do dyrektora Lewickiego, aby mi darował godzinę nieobecności na następnej lekcji, zwierzając się z tego, co spotkało nasze „Zoo". Pomknąłem więc po schodach, jakbym był sam uczniem, rozradowany i przejęty niezwykłym faktem. Kotowskiemu ani się śniło wracać na lekcję, zastałem go z dozorcą uśmiechniętych.— „Pan profesor usprawiedliwi mię przed wychowawcą". — „Oczywiście". Nadsłuchiwaliśmy więc razem, upojeni krzykami „naszych dzieci". Gorzej, że te piski słychać było na ulicy, o 20 metrów odległej. Domyślą się ludzie z pewnością. Nie ma więc co ukrywać, trzeba tylko nie dopuścić, by czyniono wrzawę i przekonać, że należy przeczekać kilka tygodni i być cierpliwym.

Po naradach i zarządzeniach dla dozorcy, aby ogród był odtąd stale zamknięty — pędzimy szczęśliwi do szkoły.



Pawilon Łowiecki na Wystawie we Wrocławiu

Kotowski już wrzeszczy o urodzinach w „Zoo". Potwierdzam, otoczony wzrastającym tłumem rozradowanych wraz ze mną sztubaków. Potem z triumfem opowiadam w sali konferencyjnej o cudownym zdarzeniu. Od tej chwili przez parę dni z rzędu miałem w klasach wesołe rozgwarki o zwierzętach, a zwłaszcza o naszej szczęśliwej parze niedźwiedziej.

Niecierpliwych widoku małych niedźwiedziątek musiałem powstrzymywać od chęci wycieczek do ogrodu, obiecując przyszłe rozkosze bawienia się z małymi misiami. Pomogło. Sprawa była zbyt ważna. Chodziło przecież, aby wychowały się do końca marca w spokoju, do czasu, gdy wyjdą ze swą karmicielką na słońce, aby igrać ze sobą i cieszyć wszystkich swym widokiem, dać się pogłaskać i fotografować. Oczywiście zaraz tegoż dnia, po wyjściu ze szkoły, spotkały mię miłe gratulacje od osób mi znanych i nieznanych, na ulicy, w kawiarni i wszędzie, gdzie się tylko zjawiłem, tak, jakbym był przyczyną radosnego i wielkiego zdarzenia w „Zoo". Wieść bowiem rozeszła się lotem błyskawicy nie tylko przez bąków ze szkoły, ale i z gabinetu dyrektora telefonicznie, który również był wzruszony sukcesami szkolnego ogrodu. Wiedziało o tym i kuratorium. Miało to ten dobry skutek, że „na wyprawki dla misiątek" wpłynęło wkrótce 300 złotych.

Ile ich się urodziło?

Przez pierwsze dwa tygodnie nie miałem odwagi być natrętny i zaglądać do gawry, aż później dopiero, gdy samica opuszczać zaczęła parę razy legowisko za żerem, ujrzałem dwa czarne, piszczące maleństwa, ruszające się w sianie, obrosłe puszkiem, trochę większe niż chomiki. Były one jeszcze ślepe i niemrawe; ponieważ szybko rosną, więc zapewne rodzą się o wielkości dużych szczurów; samica trzyma je przy wymionach i obtula gęstym futrem bardzo delikatnym, puchowatym.

Zeszły tak pierwsze cztery tygodnie. Stwierdziłem, że młode poczęły już widzieć, ale trzymały się wciąż gniazda, aż kiedyś w połowie marca zaczęły je stopniowo opuszczać za matką, pociesznie się wywracając i baraszkując ze sobą.

Samica jednak nie pozwalała na dłuższy pobyt na wybiegu i klapsami zapędzała z powrotem do kryjówki, a gdy to nie pomagało, po prostu zagarniała je łapami do gniazda, niekiedy delikatnie posiłkując się pyskiem i zębami. Wiele wrzasku wydają wtedy misiątka. Za płotem nasłuchiwało pełno ludzi. Aż w końcu marca, gdy zrobiło się cieplej i maleńkie misie poczęły się włóczyć po całej klatce, zezwoliłem na otwarcie ogrodu dla publiczności, która została o tym powiadomiona afiszami.

Najwięcej korzystała na tym niedźwiedzica; przynoszono jej dużo łakoci, ciastek z kremem oraz moc cukierków i czekoladek; łakocie te raczej przynoszono dla małych, ale one jeszcze się na tym nie znały, wolały świeże mleko matki. Oryginalny był widok, gdy niedźwiedzica, oparta plecami o ścianę wybiegu i ogarniając swe małe, pozwalała im ssać. Głośne cmokania zlewały się w jeden dość głośny, jakby warkot motoru. Miało to dobrą stronę dla „Zoo". Słysząc odgłosy cmokań na ulicy ludzie biegli, płacąc wstępy. Niedźwiedzica nic sobie już z tłumów nie robiła zajęta karmieniem, poprawiając pozycje dzieci lub da-

jąc klapsa, gdy który targnął ząbkami zbyt silnie za wymię.

Niedźwiadki z tygodnia na tydzień stawały się coraz bardziej pocieszne. Kazałem otoczyć na metr od niedźwiedziarni wybieg siatką aż do dachu i wyciąć u spodu jeden z prętów żelaznych, by misiątka mogły wydostawać się na zewnątrz i oswoić z publicznością. Nastąpiło to zaraz nazajutrz. Odtąd misie w chwilach wolnych od ssania wędrowały po wybiegu, głaskane i karmione łakociami przez ludzi. Zabawny był często widok, gdy wznosząc się na tylnych nóżkach udawały zajadłą walkę zapaśniczą; czasami, gdy któryś ząbkami dokuczył drugiemu zanadto, musiała interweniować samica, odciągając zbyt dokuczliwego przeciwnika.

Niekiedy zabieraliśmy misiątka do fotografii w głąb ogrodu. Początkowo niepokoiła się ich mama, ale z czasem oswoiła się z ludzką zaborczością, czując, że dzieciom nic się nie stanie. Do października wyrosły już tak wielkie i o tak już ostrych ząbkach, że stawały się już trochę niebezpieczne.

Mimo, że już zbliżała się zima, to nawet w grudniu karmione były jeszcze przez samicę, chociaż mogły się bez mleka matczynego już obyć zupełnie. Zimą oddzieliłem je od niedźwiedzicy, dając inne nowe pomieszczenie. Początkowo darły się w niebogłosy, samica też czuła się nieswojo, ale po paru dniach uspokoiły się i znów stały się wesołe. Niedźwiedzicę zaś połączyłem na nowo z roztęsknionym ojcem niedźwiedziego rodu.

W następnym roku, a więc po dwu latach przez cały maj panowała sielanka miłosna u rodziców, gdy z niedźwiedziątek wyrosły już spore niedźwiadki. Trzymałem je jeszcze do września, bo w tym czasie sprzedane zostały do Pragi czeskiej.

Podobne sceny lęgu i wychowu młodych powtarzały się odtąd regularnie co dwa lata z tą różnicą, że samica miała już za każdym razem troje (w 1944 r. nawet czworo). Były sprzedawane do menażerii, a raz nawet w 1938 r. do puszczy Rudnickiej nabył parkę p. Konstanty Radziwiłł, jednego zaś wziął Ogród Zoologiczny w Łodzi.

W tym okresie, aż do wojny, z niedźwiedziem samcem, bardzo agresywnym, były różne przygody zwłaszcza 8 września, kiedy tysiące ludzi zjeżdża do Zamościa na odpust. Ileż on ma za sobą zniszczonych parasolek, książek do nabożeństwa, a zwłaszcza czapek i kapeluszy — nie zliczyć. Ale pewna przygoda utkwiła mi swą niezwykłością i humorem w pamięci dość wyraziście. Było to latem, wieczorem, kiedy „Zoo" było już zamknięte. Podszedł do mnie w kawiarni pewien pan i przedstawiając się jako architekt o znanym nazwisku w kraju, prosił, bym mimo spóźnionej pory pokazał mu niedźwiedzie, gdyż musi już za godzinę jechać do Lwowa, jest tylko przejazdem z Warszawy, a kocha szalenie zwierzęta, zwłaszcza misie. Chętnie zgodziłem się i ruszyliśmy do „Zoo". Miłośnik zwierząt zakupił pokaźną ilość smakołyków po drodze; wkrótce staliśmy przed wybiegiem najstarszego misia, który na rozkaz otwierał paszczę, by połykać cukierki i czekoladę. Bawiło to ogromnie inżyniera; w tym czasie pozwalałem sobie na głaskanie misia, zresztą bardzo ostrożnie. Miłośnik zwierząt zazdrościł mi tego stosunku do groźnego olbrzyma i w pewnej chwili dotknął go nowiuteńką teczką, wypakowaną dokumentami i cennymi planami. Stała się jednak rzecz nieoczekiwana. Miś nagle wydarł potężną łapą teczkę z rąk architekta i jak szalony począł biegać z nią po klatce. Trzeba było widzieć przerażoną minę inżyniera, który po chwili zaczął mię błagać na wszystkie świętości, by ratować zawartość teczki. Nie pomogły jednak me prośby ni groźby. Miś, chcąc koniecznie zbadać co teczka zawiera, potężnymi grabiami pazurów rozerwał ją i począł wnet wyrzucać pliki papierów, które wiatr porywał i rzucał na odchody i brudną posadzkę. Na szczęście miś na razie zajął się nowiutką, pachnącą skórą teczką, rozrywał ją na kawałki i począł żuć. Aby go zwabić do drugiej przegrody i odseparować od papierów, którymi po zniszczeniu teczki mógłby się zabawiać i zniszczyć, posłałem dozorcę po chleb do spiżarni. Miś jednak po poprzednich smakołykach nie był wrażliwy na zwykłe jedzenie i, podrzucajc resztki skóry, zaczął się tarzać po dokumentach i planach. Inżynier w rozpaczy załamuje ręce i krzyczy: „Dadzą mi dymisję!". Błysnęła mi myśl, aby posłać dozorcę po ćwiartkę cielęciny. Była to sobota, z pewnością mają cielęcinę gotową do przekąsek na niedzielę w restauracjach, a miś cielęcinę przekładał nawet ponad cukierki i miód. Był już najwyższy czas, niedźwiedź obwąchiwał papiery, aby z kolei zająć się nimi po teczce. Szczęśliwie, że zaraz wrócił dozorca z pachnącą, jeszcze ciepłą ćwiartkę smakowitego mięsa. Jeszcze nim doniósł — woń cielęciny podniosła misia na nogi i rozdziawił paszczę. Skorzystałem z tego odrazu i pobiegłem z mięsem przed drugi wybieg, miś za mną; w tym momencie dozorca opuścił żelazną zasuwę. Papiery były uratowane. Trzeba było widzieć teraz radość inżyniera. Zaczął mi ściskać dłonie i serdecznie dziękować. W trakcie, gdy niedźwiedź rozkoszował się pieczenią, dozorca wyzbierał dokumenty i plany. Były w stanie godnym pożałowania, na szczęście całe, choć pobrudzone i pomięte. Zaproponowałem architektowi wysłanie depeszy, że przyjedzie kilka godzin później, a tymczasem zajmiemy się oczyszczeniem papierów i wyprasowaniem ich. Uradowany ocaleniem ważnych papierów, udał się do mnie, gdzie po kolacji długo oczyszczał swoje plany, rad wielce, że przygoda z misiem nie skończyła się gorzej.

Przyszła wojna. Ciężko było z aprowizacją w „Zoo", a z początkiem zimy 1940 r., gdy zostałem uwięziony, zaczęły masowo ginąć zwierzęta, zwłaszcza ptaki, z braku należytej opieki. Padł niedźwiedź tybetański, jeleń, papugi, wydra i mnóstwo drobnych ptaszków. O tym dowiadywałem się, siedząc na zamku w Lublinie, jak również i o tym, że urodziły się trzy niedźwiadki.

To było powodem, że zamiast wysłać mię do obozu, bo miałem ciężkie oskarżenie ze strony gestapo o zbytnią nienawiść do Niemców przed wojną — zwolniono mię z tym, abym zajął się ogrodem z obowiązkiem codziennego meldowania się. Trzeba przyznać, że Niemcy dbali o „Zoo", jedynie, zamiast pozostać kierownikiem, musiałem się zadowolić funkcją dozorcy. Nade mną został kierownikiem Niemiec Klaus (fryzjer z zawodu), który zniszczył mi owoc wieloletniej pracy — systematykę czterystu gatunków roślin, jako niepotrzebną dla żołnierza niemieckiego; przekopano więc ten dział przyrody i zasiano trawę. Do zwierząt jednak Klaus mało się wtrącał, nie znając się na hodowli, ale mimo to, urodzone i podchowane niedźwiadki wywieziono w następnym roku do Niemiec. Tak samo urodzone znów trzy sztuki w 1942 r.

W r. 1944, gdy Niemcy gwałtownie „ryglowali" front, urodziły się aż cztery niedźwiedziątka. Ponieważ komisarz niemiecki i mój formalny zwierzchnik przestali interesować się odtąd ogrodem zupełnie — starałem się ukryć fakt nowych narodzin, spodziewając się, że wiosną Niemcy Zamość opuszczą. Pamiętam, napisałem w marcu wesoły wierszyk o „Zoo", który ukryłem w szczelinie klatki niedźwiedzi. Widząc w niezwykłych narodzinach fenomen, opiewałem bliską już klęskę Niemców i dobry omen dla Zamościa, że ocaleje w zbliżającej się pożodze bliskiego frontu.

Tak się też stało, ale w krótkiej bitwie o Zamość, niestety, zginęły od bomby: daniel, jeleń, borsuk i kilka ptaków, zimą zaś (1945 r.) padły lwy i małpy na skutek niesumienności dozorców.

Od roku zeszłego, mimo tych klęsk na początku i na końcu wojny, staram się ogród zrekonstruować; zwierząt powoli przybywa; najwięcej zachowało się niedźwiedzi, bo jest ich obecnie z tegorocznym przychówkiem aż 10 sztuk, to też jednego cztero i pół letniego przeznaczam jako dar dla Warszawy, a drugiego do Wrocławia, parę zaś latem wymienię na małpy z zagranicą; poza tym jest kilka sarn, kun i tchórzy, borsuk, parę wilków, lisów, dzik, parę wspaniałych orłów oraz parę gatunków innych ptaków; na miejsce zniszczonej buduje się sporą wężarnię dla węży i jaszczurek.

Ostatnio, bo parę tygodni temu, przeżył Zamość wielką sensację: z niedomkniętej należycie klatki wyszły sobie spokojnie dwa czteroletnie niedźwiedzie i z godzinę spacerowały po „Zoo", nim przy pomocy zaalarmowanej milicji udało mi się wreszcie zapędzić je do klatki. Niedźwiedzie karmione przeze mnie rzucanymi im jabłkami, nie przejawiały żadnej agresji, w stosunku zaś do wilków i kun zachowały się jak w legendarnym raju: przyjaźnie obwąchiwały się z nimi, a nawet lizały. Widocznie urodzone w niewoli zwierzęta zatraciły dzikość. Dlatego też po godzinnej przechadzce po „Zoo" dały się tak łatwo nakłonić do zaprzestania spaceru i przerwania miłej im wolności, niepewnej bądź co bądź dla otoczenia. Tę awanturę w zamojskim „Zoo" opisał szeroko „Express" warszawski w dniu 16 kwietnia. Ich ostatnia przygoda natchnęła mię myślą, by o zamojskich misiach napisać szerzej do wiadomości i ku uciesze myśliwych.

Zamość, 20 IV 1948 r.

Stefan Miler, profesor.

Z. KOWALSKI.

Pawilon łowiecki na Wystawie Ziem Odzyskanych

W kwietniu br., kiedy Ministerstwo Leśnictwa zleciło Polskiemu Związkowi Łowieckiemu urządzenie pawilonu łowieckiego w ramach Wystawy Ziem Odzyskanych, zdawało się nam, że dokonanie tego w czasie od maja do lipca jest rzeczą po prostu niewykonalną. Szczególnie, że zrujnowany domek, położony nad brzegiem Odry, a przeznaczony dla łowiectwa, znajdował się w stanie opłakanym.

Przegniły drewniany strop zarywał się pod stopami, wiatr hulał swobodnie, wpadając przez pozbawione futryn otwory okienne, a wylatując przez dziury wybite działowymi pociskami. Dach? nie, dachu właściwie w ogóle nie było.

Nie lepiej przedstawiało się otoczenie przyznanego nam budynku.

Ziemię zalegały puszki, szmaty, niewypały, żelastwo i cegły. Odra, płynąca spokojnie o 20 m przed pawilonem, zatarasowana była wrakami statków i przęsłami mostów.

Pocieszał nas jedynie ten fakt, o ile to może być jakąś pociechą, że cały teren przeznaczony pod Wystawę przypominał coś pośredniego między rumowiskiem a zaśmieconym do ostatecznych granic podwórkiem.

* * *

Po miesiącu jednak nie mogliśmy już poznać zarówno terenu wystawowego, jak i naszego, dźwigającego się z ruin pawiloniku. A po następnym miesiącu, wściekłe tempo robót do tego stopnia udzieliło się naszej ekipie, pracującej nad wykończeniem wystawy łowieckiej, że dział ten został zgłoszony przez kolegę Gosławskiego do dyrekcji Wystawy, jako pierwszy wykończony i gotowy na przyjęcie zwiedzających.

Wystawę naszą podzieliliśmy na dwa działy: dział trofeów zdobytych przez polskich myśliwych po roku 1945 na Ziemiach Odzyskanych oraz na dział dydaktyczny. Część pawilonu na parterze odstąpiliśmy ponadto naszej bratniej instytucji—Spółdzielni „Jedność Łowiecka".

Trofea, szczególnie jelenie z Mazur, stanowią wysoką klasę. Wieńce jeleni mazurskich są poza tym tak wyrównane co do jakości, że komisja sędziowska dla oceny trofeów łowieckich, powołana przez Komitet Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego w osobach inspektora Cenkiera, inż. Gosławskiego, inż. Mrugasiewicza i St. Madeyskiego, miała poważny kłopot w przyznaniu pierwszych miejsc w tym dziale pokazu.

Najlepsze wieńce, nagrodzone w kolejności złotym medalem i brązowymi medalami, zdobyte są w następujących nadleśnictwach Dyrekcji Lasów Państwowych w Olsztynie: Przemysławów, Napiwoda, Mikołajki, Strzałowo.

W pawilonie łowieckim wystawione są również trofea Marszałka Polski Michała Żymierskiego, Protektora Polskiego Związku Łowieckiego.

Dział dydaktyczny zawiera, poza ptakami i zwierzętami charakterystycznymi dla Ziem Odzyskanych, jak muflon, bóbr, gęś, kormoran itp., dział parostków sarnich z podziałem na kapitalne, selekcyjne i przyszłościowe.

Pokaźny jest też dział fotografii łowieckich ze zdjęciami kolegi W. Puchalskiego na czele.

Ponadto mapy i wykresy nadają specjalne piętno powagi naszemu pawilonowi, mówiąc o bogactwie zwierzostanów na Ziemiach Odzyskanych, o roz-

mieszczeniu tam zwierzyny, o organach Polskiego Związku Łowieckiego i Spółdzielni „Jedność Łowiecka".

* * *

W dniu uroczystego otwarcia, ukryty w starym parku biały domek z emblematem łowiectwa, w postaci jelenia gonionego przez psy, lśnił świeżutkim tynkiem, barwił się klombami czerwonych pelargonii i błękitnych bratków. Brzeg Odry zielony był od kwietników, a gładka toń rzeki odbijała obłoki, sunące po niebie. Zniknęły sterczące z wody kominy wraków, wyciągnięto wiele żelaza.

Żar lał się z nieba, to też mocno męczące było oczekiwanie na Dostojnych Gości, którzy zwiedzając Wystawę mieli zawadzić również i o nasz Pawilon. Cierpliwość nasza opłaciła się wielokrotnie.

O godzinie 16 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Bolesław Bierut, wraz z Marszałkiem Polski, Michałem Żymierskim, Rządem, dyplomacją i liczną świtą, zaszczycili Pawilon Łowiectwa dłuższymi odwiedzinami.

Pan Prezydent interesował się poważnie całością a nawet poszczególnymi eksponatami. Wizyta trwała około 20 minut, co w czasie zwiedzania takiego ogromu, jakim jest Wystawa Ziem Odzyskanych, ma swoją wymowę.

Późniejsze podziękowanie i gratulacje od Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, przekazane nam w Jego imieniu przez Ministra Leśnictwa, Bolesława Podedwornego, utwierdziły nas w przekonaniu, że skromna pozornie nasza wystawa, spełniła dobrze swój obowiązek wobec Polskiego Łowiectwa.

* * *

Wrażenia z pierwszych dni po otwarciu Wystawy są też nader pozytywne. Zwiedzających nasz dział jest bardzo wiele, chwilami panuje nawet tłok.

Największe zainteresowanie myśliwych wzbudzają przepiękne wieńce jeleni mazurskich, parostki sarnie, szable dzicze i mapy.

Szarej publiczności podoba się natomiast olbrzymi wilk, czający się do skoku, świetnie wypchany ryś, bóbr i pościnane przez niego grube pnie, a nade wszystko kolekcja pięknych bojowników — batalionów naszego wiceprezesa, kolegi Józefa Skrzypka.

Na zakończenie tych migawek z pawilonu łowieckiego pozwolę sobie przytoczyć krótką rozmówkę, która nabrała szeroko znanego charakteru anegdotycznego.

Młody człowiek, który pilnie słuchał objaśnień naszego gospodarza pawilonu o batalionach i ich tokowiskach wiosennych, po paru godzinach wrócił z większym towarzystwem, przeważnie pań, i w ten sposób z wielką dumą, spowodowaną znajomością przedmiotu, zaczął objaśniać: „Są to skrzypki ze zbioru pana Bataliona, a kołnierze tak piekne mają w okresie głodowym. Dwóch jednakowych spotkać nie można".

Co do ostatniego punktu miał rację. Co do innych to przejdą one do niezapomnianej łaciny myśliwskiej.

Z. Kowalski



Stoiska P. Z. Ł. w Pawilonie Łowieckim

LUDWIK HRYNCEWICZ.

ŚPIEWKA

Olita, w roku 1926.

Do pana Antoniego Kulwiecia, na każdy jego zew pędziliśmy jak w dym, gdyż dobre miał tereny, pierwszorzędnie dobraną sforę, sam był starym, zapalonym myśliwym, znał się na łowach jak nikt, lubił młodych, zaścianek zaś jego, dzięki pani Antoniowej, babie — nawiasem mówiąc — jak piec grubej, obfitował w różne specjały, wyśmienite wędliny, wyborne nalewki i w słynne na całą okolicę... bondy. Bondy były specjalnością jaszuńskiej kuchni, sporządzone z surowych, tartych kartofli, pieczone w formie oładków na kapuścianych liściach w piecu chlebowym, a następnie duszone w tłustym sosie ze śmietaną. Nie pamiętam polowania w Jaszunach bez tych bond.

Nasz siedemdziesięcioletni gospodarz, mimo wieku rzeźki, szlagon zagonowy z sumiastymi wąsami, zawołany psiarz, polownik i zagończyk. W kniei czuj duch i znaj mores! W chałupie po staropolsku gościnny, tą gościnnością godną a pełną uprzejmości, nie narzucającą się a stwarzającą gościowi atmosferę natychmiastowego zadomowienia. Zaścianek nie był obszerny, czysto i schludnie tam było — i o dziwo! — ściany zdawały się być z gumy. Bo ilekroć dane nam było gościć u p. Antoniostwa latem, za locum noclegowe służył nam „świronek" (spichrzyk),—ale zimą dom potrafił przyjąć i zalokować na noc nawet liczną czeredę myśliwych.

Tak też i tym razem byliśmy pewni, że gospodarze, mimo ogrzania naszych żołądków wyżej opiewanymi specjałami z dodatkiem sporej ilości „smorodzinówki" (nalewki na czarnych porzeczkach), ulokują nas na tę grudniową noc w domu.

Ułożyliśmy się w świetlicy we czworo. Zygmunt Ż., pospolicie Musiem zwany, przyjaciel mój od serca i flinty, ze mną na otomanie, dwaj inni — Klet Korewa i Misza Guber na prędce wniesionych łóżkach. Miszka odgrywał w naszej paczce doniosłą rolę kierownika działu transportowego, jako, że „w cywilu" był właścicielem taksówki olickiej. Klet, mój przyjaciel, odznaczał się tym, że lepszym był brydżistą, niż rolnikiem, lepszym myśliwym, niż brydżistą, zaś jako rolnik prowadził ojcowski folwarczek naprawdę wzorowo.

Świt tkwił jeszcze za horyzontem a już bas pana Antoniego huczał po świetlicy. Huczał miękkim, śpiewnym, melodyjnym akcentem, tylekrotnie ośmieszanym w dykteryjkach i anegdotach. Ten tak zwany litewski akcent jest ściśle zrośnięty z tamtejszymi ludźmi i nie daje się łatwo wykorzenić; śpiewności swej mowy ludzie północy nie zatracają, po tej śpiewności rozpoznajemy jeden drugiego na krańcach świata.

— Panowie wstawać! Dość spać, opolować mamy szmat. Zaczniemy od rojsty (bagna) Pogirskiej, potem przez brzeźniak na Użtyłty na lisa. Przetrzeć oczy i do lasu. Zakąsim trochę i marsz-marsz! Porosza (ponowa) — prosto rozkosz, śniegu cali na siedem, mrozu stopni na trzy, wiatru ni ni, pogoda ajaj! jaka! Poniesież gon po lesie, to i Wojskiemu wstyd zrobim. Kazis (Litwin) już psów utrzymać nie może, rwą, czują ochotę. Po jednej smorodzince na jedną nóżkę, po drugiej na drugą — i dość! Aby tylko wczorajszy duch sznapsowy zabić, bo lis-frant — wieczorny zagar na wiorstę czuje.

Dojadaliśmy śniadania, dopijaliśmy herbatę, dopinaliśmy rynsztunek, a staruszek pogadywal:

— A pan Klet nie brać flaszki do lasu; przy moich pieskach zimno nie będzie, na użtylckich górkach, pagórkach i młodemu dech zapiera, gon zabiegając. A dziś śnieg kopki, koszula do plec przyklei się. Nam będzie ciężej, ale za to psy nie podbiją się. No, poszliii!

Już szarawo było, jakeśmy wyszli z obejścia. Psy rwały na smyczach w kierunku pól, pan Antoni zakazał jednak spuszczać, aż dopiero na rojstach. Rudy — polski ogar, Cap — mieszaniec i młoda suka Miszki niecierpliwiły się mocno, jedynie Śpiewka, śliczna, smukła, rasowa, delikatna gończyca, choć drżała cała do ochoty, szła spokojnie.

Śpiewka! Ho-ho! Źrenica oka i pupilka pana Antoniego. Takiej drugiej próżno szukać. Niejednokrotnie byłem świadkiem jak rwała za lisem lub szarakiem bez oka, po cięciwie łuku, górnym węchem. Karna i posłuszna na każdy zew swego pana a przywiązana do niego iście po psiemu. Nie pieski, raczej ludzki rozum posiadając, zawracała zwierza właśnie dzięki górnemu węchowi wprost na myśliwego; była przy swej delikatnej i smukłej budowie silna i wytrzymała. A chody miała leciuchne jak panienka. Nie widziałem u niej nigdy łap podbitych, nawet po ostrej jesiennej grudzie na oraniskach.

Polowanie z gończymi nie daje dużych rozkładów, z punktu zaś widzenia hodowcy jest szkodliwe. Niemniej jednak jest w tym trochę i przesady. Ze względu na emocje i przeżycia w tego rodzaju polowaniach, przekładam je nad każde inne. Myśliwy wsiąka w przyrodę, staje się składową częścią natury, budzą się w nim nieznane dla niego samego instynkty — pierwotnieje. Wzrok, słuch, węch w myśliwym potęguje się, wczuwa się on w psychologię i odgaduje kombinacje gonionego zwierza. Gon dobranej sfory, to koncert nad koncertami a ocenić go może tylko ten, kto w kniei gon słyszał.

Dochodziliśmy do rojsty. Kazis z psami zaszedł od wsi i spuścił sforę. Z punktu ruszyły zwierza. Co? — Lis? — Kot? Gonią gorąco, chyba mikita. Ale za blisko wsi wzięły, jednak to zając! gorąco biorą, bo na oko szaraka mają, po ogonie gonią.

— Bach, bach, hoch, huch! — równym basem głosi Rudy.

— Ach, ach, ciach, aj, ach! — zalewa się cieniej Cap.

Młoda suczynka Miszki na pierwszym polu w tym roku, nie bardzo jeszcze wie, o co chodzi, gnana instynktem, piszczy jak fujareczka.

— Jaj, ajaj, jaj, jaj, ajajaj! — rozlega się jak dzwoneczek dyszkancik Śpiewki. — Buch, bach! — wtóruje dalej Rudy.

W nas krew zagrała, zrobiło się naraz gorąco. Jak sprężyna pchnięty skoczył pan Kulwieć mimo wieku między olszynki na przesmyk. Rozbiegliśmy się gdzie kto mógł i lepiej przeczuwał.

Tymczasem gon oddala się, ale harmider nie ustaje, odwrotnie potęguje się, rośnie, rozpala się. Cała orkiestra gra symfonię.

Setki forteli, myśli, tłoczy się i kotłuje we łbie. Gdzie stanąć? Pod brzozą? Może na pagórku w jałowcach? Tam dobrze, łatwiej z górki zbiegać i gon słychać lepiej, lepsza orientacja! Gdzie? Gdzie?

Serce po ejsmondowsku włazi do gardła. Grunt jednak to spokój. Opanowuję się, uspokajam rozdygotane nerwy, rozumuję na zimno i wybieram stanowisko za rowem pod tą pochyłą brzozą, gdzie to Muś rok temu rąbnął lisa. Nasłuchuję.

Muzyka gonu dochodzi z dali — ale rozdziela się, już tylko poszczególne instrumenty grają; teraz znów tylko młodą sukę słychać, poznają ją po piszczałkowym tonie głosu: pil, pi, pili, aj, iji, pi! Znów buchnął organ pełną gamą, pełnym akordem gra psia orkiestra. Ach, jak cudnie grają! Zapominam o świecie, o łowach, maleję, niknę, wchłania mnie w siebie matka-przyroda, staję się na chwilę jej nierozerwalną cząstką. Słońce właśnie wychyla się zza lasu, kopuła nieba z jasnej zmienia się na wschodzie na czerwoną, na zachodzie staje się niebieską. Trzciny i szuwary nad rowem złocą się, po śniegu kładzie się purpura z jakimś dziwnym fioletowym odcieniem; krzywa brzoza kąpie się w czerwieni.

Cisza, aż w uszach dzwoni. Od strony wsi słychać nawoływania i poryki bydła. Znów cisza. Naraz akord gonu zapełnia całą wklęśliznę rojstu, idzie dalej, odbija się echem o las i powraca do mnie. Słyszę dwa gony. Coraz bliżej, bliżej. To nie echo. Dwa gony: jeden idzie bokiem na Kulwiecia, drugi het! na prawo w las.

Zabiegać, zabiegać na przesmyk! Gon tuż! Szybko!

Nic, że nogi grzęzną w śniegu, nic, że zapadam w trzęsawisko nie zamarzłe, nic, że się wywracam. Wstaję i pędzę dalej. Stać! Trzeba wysłuchać gonu! Idzie wprost na mnie. Mam niewygodne, bo źle widoczne pole obstrzału, ale już nie mogę zmieniać w ruchu mogę przegapić zwierzynę. Stoję na łasze trzcinowej, szczęściem niezbyt gęstej. Gorzej bo na wysokich kupstach (kępowinie). Mokro. Śnieg podbiega rdzawą wodą. Spokój.

Mignęło między kupstami coś rudego. Bliżej, jeszcze raz — mikita!

Idzie na mnie równiutko jak po sznurku, widzę go prawie cały czas. Na strzał jednak za wcześnie. Puścić bliżej, źle idzie, bo na sztych. Nie lubię takiego strzału. Fajtnął w bok, miga mi między kupstami. Tu go rąbnę.



Stoisko „Jedności Łowieckiej" w Pawilonie Łowieckim

* * *

Pod zmierzch zszedł lisi gon po użytłckich pagórkach, po borze sosenkami podszytym. Gon prowadziła Śpiewka. — Buchnął strzał. — Cisza.

* * *

Spotkaliśmy się wszyscy na linii. Kto strzelał? Ty? Nie, nie ja! Ty? Nie! Pewnie pan Antoni.

Strąbiliśmy psy, nadszedł i Kazis. Psy były jakieś zdetonowane. Pan Antoni ze Śpiewką poszedł pewnie już do domu, strzał był przecie w kierunku Jaszun. Lecz i w domu nie było p. Antoniego, nie było również Śpiewki. Ruszyliśmy na poszukiwania, bo i pani Antoniowa niepokoiła się jakoś. Późnym wieczorem o księżycu znaleźliśmy p. Antoniego. Ze śladów na śniegu odgadliśmy historię.

Staruszek zabiegał gon pod górkę — rąbnął lisa i... „młodemu dech zapiera gon zabiegając"—padł w kniei na łowach z pękniętym sercem. Obok warowała Śpiewka...

Pan Antoni Kulwieć — Hipocentaurus stanął do ostatniego apelu Św. Huberta.

* * *

W trzy tygodnie później Śpiewka zdechła...

L. Hryncewicz.

WŁADYSŁAW BIELA.

ŁOWIECTWO A MŁODZIEŻ

Nawiązując do artykułu J. Oświecimskiego pt. „Łowiectwo a młodzież" (artykuł dyskusyjny „Łowiec Polski" nr 1 z 1948 r.), należy stwierdzić, że autor zaalarmował jedno z najważniejszych i najaktualniejszych zagadnień, zaważających prawie że decydująco na losach przyszłego łowiectwa. Zagadnienie udziału młodzieży starszej w dziedzinie łowiectwa i wychowanie młodzieży młodszej w „ekspansji idei zrozumienia miłości przyrody i ochrony przyrody" jest tak ważnym problemem, że nakazuje on nie tylko konieczność zastanowienia się, lecz i natychmiastowego przystąpienia do akcji w tym kierunku.

Obserwując przejawy działalności obecnego łowiectwa, nasuwa się spostrzeżenie, że przez aktywne życie tegoż przesuwają się niezmiennie jedne i te same postacie nemrodów starszego pokolenia i w ogóle myśliwych starszych. Trzeba przyznać, że ich olbrzymi wysiłek na podłożu przeczystych idei, oparty na głębokiej miłości przyrody, zdąża ku lepszej łowiectwa przyszłości. Trzeba przyznać, że każdy ich krok cechowany jest troską zmiany na lepsze, a cały wysiłek skierowany na przekazanie następnym pokoleniom dorobku moralnego łowiectwa w postaci nie tylko fachowego uświadomienia, ale i w postaci wskazań i materiału do urobienia dusz łowieckich. Są to jednostki na ogół znane, które wespół z garstką solidaryzujących się nimi myśliwych z terenu, patrzą z myślą w jutrzejszy dzień i pracują dla jutrzejszego łowiectwa.

Niemniej jednak widoczny jest fakt, że ruch łowiectwa w obecnej chwili spoczywa tylko na barkach starszej generacji myśliwych. Lecz cóż się stanie, jeśli ci nieodmiennym prawem natury odejdą w „krainę wiecznych łowów"? Kto po nich dzierżyć i kontynuować będzie szczytne, lecz nie łatwe prace łowieckie? Cóż się stanie z dzisiejszym dorobkiem myśli i czynów? Jak będzie wyglądało to, co dzisiaj jeszcze ocalone i z takim trudem chronione?

Stajemy wobec niepewnej przyszłości jutrzejszego dnia i tu leży sedno troski kol. J. Oświecimskiego, który w ostatniej dosłownie chwili uderza na alarm. W artykule swym poruszył autor sprawę udziału w łowiectwie młodzieży starszej, tzn. młodzieży, będącej obecnie na szczeblu akademickim lub u jego progu. Jak wynika z całokształtu artykułu, należy mieć przeświadczenie, że kol. J. Oświecimski w chwili pisania swej pracy miał na myśli młodzież w ogólności, a zajął się wyłącznie sprawą młodzieży starszej celowo, aby zaprojektować podjęcie natychmiastowych poczynań, które — o ile już nie pozwolą na odrobienie przeszłości, to przynajmniej dadzą możność wykorzystania w ostatniej chwili wszelkich środków, zdążających do wyłowienia spośród młodzieży jednostek wartościowszych i rokujących nadzieje.

Ciekawym jest fakt małego, prawie znikomego udziału młodzieży w łowiectwie. Osobiste obserwacje pozwalają na stwierdzenie, że na terenie większej ilości kółek łowieckich nie natrafia się w ogóle na młodzież. Śledząc szpalty „Łowca Polskiego", nie spotyka się głosów młodzieży. Czemu przypisać to zjawisko? Jak wszedzie, tak i na tym polu wojna pozostawiła swoje piętno. Młodzież cofnięta o kilka lat, z trudem i mozołem nadrabia straty poniesione w nauce i w ogólnym swoim rozwoju, co ją absorbuje prawie całkowicie. Wpływają również i zmienne warunki, udział w szybko rwącym postępie ogólno-społecznym na polach techniki, odbudowy, zmian ustrojowych itp. Wpływa również i za mało doceniana — a zaciemniona na razie innymi problemami — pozycja łowiectwa w ogólnym planie gospodarki narodowej. A pamiętać o tym należy, że niedociągnięcia i braki w różnych odłamach gospodarki narodowej, po krótszym lub dłuższym okresie dadzą się usunąć i naprawić, straty zaś poniesione w łowiectwie mogą się nie wrócić. Niemniej i ciężkie warunki materialne, w jakich niejednokrotnie młodzież się znajduje, i z którymi borykając się, dużo traci, są przyczyną istniejącego stanu. Wszystkie te warunki razem wzięte, stwarzają bierność młodzieży i tłumaczą młodzież, która ponadto nie miała skąd wynieść tradycji łowieckich, tak ważnego czynnika, skierowującego w ramiona łowiectwa.

Co można zrobić? Przede wszystkim jednogłośnie potwierdzić i zaakcentować pogląd i projekt kol. J. Oświecimskiego, który rzeczowo przedstawił kilka środków dążących do wciągnięcia młodzieży w szeregi myśliwych i umożliwiających jej branie czynnego udziału w łowiectwie. Stworzenie „podbudówki młodzieżowej Pol. Zw. Łow.", dostępność „wczasów myśliwskich" oraz gościnność i pomoc poszczególnych kółek i stowarzyszeń, są — mam wrażenie — jedynymi środkami, przy pomocy których można by było wywołać szersze zainteresowania, i na których można by było oprzeć nadzieje jutra.

Tyle z mojej strony odnośnie artykułu kol. Oświecimskiego, dotyczącego młodzieży starszej. Zaznaczam, przy tym, że powtarzam myśl autora, nie jako plagiat, lecz w celu specjalnego podkreślenia ważności najżywotniejszej obecnej troski, którą autor poruszył. Niemniej jednak równorzędną troską jest sprawa młodzieży młodszej, młodzieży na poziomie szkół powszechnych, jako gruntu, w który od zarania młodości należy wszczepiać idee miłości, piekna przyrody i jej ochrony. Z przykrością stwierdzić należy, że w tym względzie robi się bardzo mało. I śmiem zaryzykować przypuszczenie, że stan obecnie istniejący doprowadzi do katastrofalnych wyników, godzących w objekt przyrody i w dusze młodzieży.

Obserwując środowisko wiejskie, jako mające najwięcej styczności z przyrodą, dochodzi się do wniosku, że instynkty młodzieży, mające rozwijać się w kierunku dodatnim, są w tej chwili nie tylko otępiałe, ale idą w kierunku wręcz przeciwnym. Powodem tego stanu rzeczy, oprócz anomalii spowodowanych wojną, jest odgórny zły przykład starszego środowiska i otoczenia oraz zły sposób wychowywania młodzieży na łonie rodzinnym. Dowodem przykładowym są wprost barzyńskie ślady niszczenia lasów, mocno rozwinięte kłusownictwo i wnykarstwo, z którymi to przejawami młodzież nie tylko styka się codziennie, ale i sama bierze w tym udział czynny. W udziale tym młodzież nie tylko nie widzi nic zdrożnego, lecz jeszcze zalicza go do bohaterskich wyczynów.

Jako przykład rozmiarów szkód niech posłuży następujący fakt: jedna z wsi pow. biłgorajskiego, trudniąc się wypalaniem wapna, zużywa w sezonie około 10 do 12 tysięcy metrów drzewa opałowego, oprócz normalnego zużycia dla celów opałowych. Drzewo to pochodzi przeważnie z kradzieży leśnych. W tym wypadku akcję ochronno-patrolową spełnia po większej części młodzież. Tak giną przepiękne rewiry i ostoje leśne.

Podobnie i ze zwierzyną, która ginie z rąk kłusowników, najczęściej przy współudziale młodzieży. Sidła i wnyki są przeważnie dziełem rąk młodocianych. One też łamią drzewka przydrożne, wypasają sadzonki, podbierają jaja, niszczą pisklęta i młodą zwierzynę gwoli tylko zadowolenia niskich instynktów. Czym to grozi i do czego zmierza? Do stworzenia nowego pokolenia rabusiów leśnych i kłusowników.

Jedynym środkiem, mogącym zaradzić złemu, są rygorystyczne, natychmiastowe represje karne z jednej strony, a z drugiej strony — źródło uświadomienia, szkoła. Szkoła jest placówką, skąd młode charaktery wynoszą w życie podstawę i zawiązek zasad, gdzie dzieci zdobywają pewną dozę uświadomienia, gdzie uczą się rozróżniać dobre od złego. I ważną jest rzeczą, żeby dziecko opuszczając szkołę wyniosło z niej nie tylko umiejętności przedmiotowe, lecz by zrodziły się w nim i wszczepiły w jego duszę wartości moralne, społeczne oraz uczucia szczytniejsze i idealniejsze.

Co prawda są to wskazania programowe, lecz w praktyce mało stosowane, a nawet pomijane. Jeśli rozchodzi się o dziedzinę omawianą w niniejszym artykule, to środkiem bezpośrednim do osiągnięcia celu jest

nauka przyrody. Jest to przedmiot, przy pomocy którego można grać na duszach młodzieży jak na wielostrunnej harfie. Zależy tylko od umiejętności i nastawienia mistrza. Trudno jednakże żądać, by każdy nauczyciel był specjalnym entuzjastą nauki przyrody. Trudno również wymagać, by każdy nauczyciel, oprócz zasobów wiedzy ściśle biologicznej odnośnie przyrody, posiadał odpowiedni zasób wiadomości potrzebnych do rozwinięcia przedmiotu przyrody, z punktu widzenia poruszanego w niniejszym artykule, a więc z punktu widzenia łowiecko-ochroniarskiego.



Na stanowisku – z serji nagrodzonej, fot Z. Drzewicki

Bywa również, że nauczyciel wioskowy w nawale pracy zawodowej, tak nad młodzieżą w wieku szkolnym, jak i nad młodzieżą pozaszkolną (podlegającą obecnie dokształcaniu), nie jest w stanie śledzić ujemnych przejawów życia środowiska, nie jest w stanie zwracać na to uwagi i temu zapobiegać, tym bardziej, że może nie posiadać w tym kierunku specjalnego nastawienia. I tu konieczne jest poddanie nastawienia przez komórki kompetentne.

Przede wszystkim konieczny jest apel do ogółu nauczycielstwa, przedstawiający istotny stan przyrody naszej i jej przyszłość na podstawie widocznych a rażących przykładów. W akcji ochrony przyrody dużą korzyść uświadamiającą mogą przynieść odpowiednio pouczone organy terenowe Związku Naucz. Polskiego (Ogniska) przez konferencje rejonowe, z których programu powinny zejść od czasu do czasu przedmioty stale na nich omawiane, a wejść na odpowiedni szczebel przyroda, jako jeden z ważniejszych przedmiotów. Jadnakże, aby akcja przyrodo-ochroniarska weszła na porządne tory, apele muszą dojść do rąk każdego nauczyciela i do każdej komórki terenowej Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Zastrzeżenie to wysuwam na tej podstawie, że o zarządzeniach Ministerstwa Oświaty odnośnie ochrony przyrody, o wydaniu broszury również, o ochronie przyrody, dowiedziałem się z „Łowca Polskiego", mimo, że pracuję w zawodzie nauczycielskim. Dla uzupełnienia wiedzy nauczyciela w dziedzinie przyrody fragmentami o zabarwieniu ideologicznym, uczuciowym, ochroniarskim, etycznym i monograficznym, należy dążyć do wydania odpowiednich podręczników dla nauczyciela oraz szkolnych, z których nauczyciel mógłby czerpać materiał lekcyjny i wychowawczy, bez konieczności montowania lekcji na podstawie szukania tematu i materiału z kilku podręczników. Podręczniki przyrody, dostosowane do poszczególnych klas, jako wynik skonsolidowanej i wspólnej pracy pedagogów-przyrodników z udziałem wybitnych znawców łowiectwa i leśników, dałby gwarancję pożądanej treści w różnorakich i wszechstronnych ujęciach, co jest bardzo pożądane dla ułatwienia pracy nauczycielowi. Forma pomocy w postaci pojedyńczych broszurowych wydawnictw, mimo niekwestjonowanej wartości, o tyle mija się z celem, że ujmowane są w nich poszczególne działy pojedyńczo, nie stwarzając całości przedmiotu przyrody, no ale i te nie zawsze dochodzą do rąk każdego nauczyciela. Zaapelowanie do nauczycielstwa i ułatwienie mu pracy da na pewno wynik dodatni z korzyścią dla przyrody oraz dla samych dusz dziecięcych, z których może jednostki będą następcami nas myśliwych.

W. Biela.

Z ŻYCIA P. Z. Ł. w TERENIE

SPRAWOZDANIE

z działalności P. Z. Ł. na terenie powiatu Wołów za rok 1947.

Polski Związek Łowiecki zapoczątkował swą pracę na terenie powiatu Wołów dnia 3 III 1946 r.

Pierwszym zadaniem członków było wytężenie wszystkich sił do walki z kłusownictwem i wnykarstwem.

Kilka wyroków sądowych, skazujących na areszt lub kary pieniężne oraz odezwa starosty powiatu skierowana do miejscowej ludności, wójtów i sołtysów, uświadamia mieszkańców tutejszego powiatu, że nie wolno niszczyć zwierzyny leśnej, że jest ktoś, kto tego strzeże i pilnuje.

Polski Związek Łowiecki ma w powiecie Wołów 61 członków zwyczajnych i 24 leśników, razem 85 członków.

Wybrana w styczniu 1947 r. Powiatowa Rada Łowiecka odbyła 12 zebrań w ciągu roku oraz dwa nadzwyczajne walne zebrania w dniu 15 maja 1947 r. i 19 września 1947, na których podano wszystkim członkom do wiadomości nadesłane zarządzenia władz i omówiono sprawy sporne odszkodowań za wyrządzone szkody przez zwierzynę leśną. Powiatowa Rada Łowiecka uchwaliła co następuje: Komisja szacunkowa szkód powinna się składać z łowczego powiatowego, przedstawiciela nadleśnictwa, w którym szkody powstały, przedstawiciela starostwa powiatu, przedstawiciela gminy oraz poszkodowanego, razem z pięciu osób.

Poszkodowany powinien wnieść prośbę do starostwa o wyznaczenie komisji szacunkowej, starosta powiadomi łowczego powiatowego, który ma obowiązek porozumieć się z członkami komisji i wyznaczyć datę, starostwo ma dostarczyć podwód bezpłatnie. Innych sposobów oszacowania szkód, np. przez samego sołtysa lub krewnych poszkodowanego, bez udziału członków komisji, postanowiono nie uznawać.

O decyzji Powiatowej Rady Łowieckiej powiadomiono starostwo oraz wszystkich wójtów i sołtysów powiatu.

Wynik prac Rady Powiatowej jest następujący: Całkowite odmalowanie świetlicy, przeprowadzenie instalacji elektrycznej, zakupienie 2 łóżek i pościeli do pokoju gościnnego oraz 5 stołów, 30 krzeseł, 2 pieców przenośnych i 1 szafy.

Założono 6 stowarzyszeń łowieckich w powiecie pod nazwą: Jeleń, Zając, Bażant, Kuropatwa, Lis i Remiza. Wszystkie stowarzyszenia zaopatrzono w pieczęcie okrągłe, z wizerunkami i nazwą stowarzyszenia. Założono księgowość i kasowość. Przeprowadzono ogółem 15 polowań na dziki, na rozkładzie tylko

7 sztuk, z tego 6 warchlaków, 1 wycinek; skromny wynik tłumaczyć należy brakiem broni kulowej.

Stan zwierzyny w powiecie Wołów jest dobry, Związek Łowiecki posiada 3 strażników łowieckich zaprzysiężonych, strzegą oni terenów, na których znajduje się 8 remiz ochronnych. Wykaz strażników podano do Wojewódzkiej Rady Łowieckiej i zapotrzebowano dla nich oznak.

Założyliśmy koleżeńską kasę pomocy doraźnej, z kapitałem zakładowym 50.000 zł. Członek może pożyczyć 5 tysięcy bez poręczyciela i na okres 1 miesiąca; pożyczka jest bezprocentowa.

dwa razy w miesiącu w kancelarii łowczego powiatowego porad prawnych bezpłatnie.

Łowczy powiatowy otrzymuje ewidencję wszystkich członków i stowarzyszeń, prowadzi książkę zdeponowanej broni, książkę inwentarza, protokółów, ewentualnych sporów, dziennik korespondencji przychodzącej i odchodzącej i podręczną księgę kasową. Według dziennika wpłynęło pism 785, wysłano zaś 812.

Współpraca z M. O. i U. B. bardzo dobra, przedstawiciele U. B. i M. O. należą do Powiatowej Rady Łowieckiej.



„Apporte!" *rys. K. Tarnowski*

Obecnie wystąpiliśmy do komisji uwłaszczeniowej z wnioskiem o wykupienie dzierżawionego domu na własność Polskiego Związku Łowieckiego; ofiarodawców na ten cel nie braknie.

Jeden z naszych kolegów mgr Kiełbowicz udziela

Każde zarządzenie podawane jest członkom do wiadomości.

Do sądu skierowano 6 spraw o kłusownictwo, przeprowadzone zostały dwie rozprawy, zaś 4 umorzono na podstawie amnestii.

POKAZ TROFEÓW ŁOWIECKICH W BYDGOSZCZY

Jedno z ruchliwszych na Pomorzu kółek myśliwskich, Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Bydgoszczy, urządziło w dniu 30 maja 1948 r. udany pokaz trofeów myśliwskich swych członków z odstrzału powojennego (1945—1947).

Pokaz połączony był z zebraniem referatowym, na którym omówiono szczegółowo przedstawione trofea. W zebraniu, odbytym pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa, kol. J. Patalonga, wzięło udział przeszło 100 członków,z których 14 wystawiło zdobyte po wojnie trofea myśliwskie. Składały się na nie wieńce jelenie, parostki rogaczy selekcyjnych i łownych oraz szable dzicze. Przedstawiony materiał był bardzo różny tak co do jakości jak i odstrzału; przeważały rogacze a wśród nich selekcyjne, wsteczne itd.

Wstępne uwagi na temat odstrzału selekcyjnego w ogóle wypowiedział łowczy powiatowy dr Soboczyński. Następnie zaś leśniczy Bolcek omówił szczegółowo wyniki pokazu, wskazując na niektóre niedociągnięcia w odstrzałach, co zresztą oznaczono na eksponatach czerwonym punktem karnym. Szeroko rozwinęła się dyskusja, w której poszczególni myśliwi uzasadniali konieczność odstrzału sztuk rannych czy chorych, mimo, iż parostki ich czy wieńce wskazywały na duże możliwości dalszego rozwoju.

Specjalna komisja, która zajęła się oceną przedstawionych trofeów, postanowiła premiować niektóre z nich. Premie otrzymali następujący koledzy myśliwi:

Bolcek — za zbiór rogaczy selekcyjnych,
Jan Segatyński — za zbiór rogaczy selekcyjnych,
Leon Kędziorski — za selekcyjnego jelenia,
i Wiesław Kentzer — za najlepsze szable dzicze.

Wręczenia nagród, którymi były w pierwszych trzech wypadkach książka prof. Krawczyńskiego „Łowiectwo" a w czwartym 25 nabojów bezdymnych, dokonał kol. J. Patalong.

Na zakończenie pokazu, w którym wzięli udział wiceprezes P. Z. Ł. dyr. Niezabitowski oraz sekretarz Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Toruniu kol. inż. Rosochowicz, postanowiono urządzać podobne imprezy corocznie, z uwagi na ich dużą wartość wychowawczą i szkoleniową.



Z pokazu trofeów w Bydgoszczy

KURS ŁOWIECKI W GORAJU

W dniach od 21 do 23 maja 1948 r. odbył się w Goraju dla powiatu czarnkowskiego trzydniowy kurs łowiecki urządzony staraniem Polskiego Związku Łowieckiego na powiat Czarnków.

W kursie wzięło udział 50 uczestników, którzy wysłuchali wykładów z zakresu biologii zwierzyny, prawa łowieckiego, sposobu polowań, chorób zwierzyny, broni myśliwskiej, oceny trofeów myśliwskich, czynności myśliwego po ubiciu zwierzyny, hodowli psów oraz łowiectwa w literaturze polskiej.

Wykłady były urozmaicone pokazami, z których zwłaszcza pokaz prowadzenia psów wzbudził u słuchaczów duże zainteresowanie.

Ponadto odbył się konkurs strzelania kulą do dzika oraz konkurs strzelania do rzutków. W konkursie strzelania do dzika zwycięzcą został ob. Krzyśko z Połajewa a w drugim konkursie ob. Frankowski z Czarnkowa. Po walnym zebraniu, na którym wręczono świadectwa ukończenia kursu oraz nagrody strzelania, odbyła się w przecudnym uroczysku gorajskim zabawa myśliwska.

Należy przypuścić, że kurs, który miał charakter wybitnie szkoleniowy i propagandowy spełnił swe zadanie, a słuchacze, mieszkający podczas kursu w internacie, mieli możność wzajemnego poznania się i miłego spędzenia tych „wczasów duchowych myśliwskich" i wynieśli do swych łowisk niejedną cenną wiadomość a przede wszystkim ochotę do pracy nad podniesieniem zwierzostanu w powiecie.

Akcja godna naśladownictwa

Ob. Józef Krzywicki, sekretarz gminy Bąków powiatu łowickiego i członek Polskiego Związku Łowieckiego, widząc plagę srok i wron, grożącą zagładą pozostałym na terenie gminy kuropatwom, uzyskał od gminy 20.000 zł kredytu na zakup amunicji i zmobilizował wszystkich myśliwych gminy, celem usunięcia nadmiaru szkodników.

W ciągu pierwszego półrocza 1948 roku ubito 650 starych srok i wron oraz 3.000 młodych, przez zniszczenie gniazd.

Polując na terenie gminy Bąków przez 15 lat, właśnie na dzierżawionych przez Kółko terenach, znamy dobrze ob. Krzywickiego i stwierdzamy, że dzięki jego zabiegom i staraniom, zwierzyna ma należytą opiekę.

ZBIGNIEW KOWALSKI.

Pierwsze po wojnie zawody strzeleckie w Legnicy

Wielki to sukces zdobyć złoty medal dla barw narodowych w konkurencji olimpijskiej. Po Konopackiej i Kusocińskim trzecim z Polaków, który wykazał w sporcie tę najwyższą sprawność fizyczną i zdobył mistrzostwo świata w strzelaniu do rzutków, rozgrywanych w ramach X Olimpiady, był Józef Kiszkurno.

Nic więc dziwnego, że nasza drużyna strzelecka wracała w roku 1936 z Berlina w nastrojach jak najlepszych, wróżąc sobie niezadługo wyprawę po nowe sukcesy i po nowe mistrzostwa.

Nie przypuszczali prawdopodobnie ani kol. Stanisław Czerski, ani Konstanty Łyskowski, ani Witold Jeziorowski, ani Wilhelm Ziegenhierte, że następne zawody strzeleckie do rzutków odbędą się na ziemiach polskich, które po tylu wiekach wrócą do Macierzy, nie sądzili, że obłudnie uprzejmi gospodarze Olimpiady, po przelaniu morza krwi, legną powaleni i zmiażdżeni, nie myśleli, że partnerami będą myśliwi radzieccy.

* * *

Ostatnie treningi przed pierwszymi po wojnie zawodami w strzelaniu do rzutków z myśliwymi radzieckimi odbywa nasza ekipa już w Legnicy.

Legnica jest pięknym i nie zniszczonym prawie miastem. Patyna lat przykrywa wąskie, wysokie domki w śródmieściu. Frontony starych kamieniczek w rynku zdobią płaskorzeźby łabędzi, gryfów, aniołów i rycerzy. Strzeliste wieże starych kościołków strzelają w niebo zielonymi iglicami. W katakumbach dostojnej mrocznej katedry św. Jana, mauzoleum Piastów świadczy dobitniej prawdzie historycznej polskości tych ziem, niż wszelkie dokumenty i wywody naukowe.

Treningi odbywają się na prawidłowo i przyjemnie urządzonej strzelnicy. Otoczenie standu jest urocze, strzelnica położona wysoko, na wzgórzu wśród zieleni z widokiem na dalekie, kryte czerwoną dachówką domy Legnicy.

Właściwe zawody mają trwać dwa dni, pierwszy poświęcony będzie strzelaniu według przepisów międzynarodowych do 100 rzutków z pozycji stojącej na 15 metrów, drugi dzień — tak zwanemu strzelaniu „z podchodu" w myśl regulaminu obowiązującego myśliwych radzieckich.

Druga ta konkurencja wzbudza wielkie zainteresowanie wśród naszych zawodników, jednocześnie wznieca obawę co do ostatecznego wyniku, gdyż trenowana była jedynie 10 rzutkami przez każdego.

No, zobaczymy!

Nastroje są jednak jak najlepsze, pogoda jasna, słoneczna, pomoc i opieka, jaką otaczają naszych zawodników miejscowe władze Polskiego Związku Łowieckiego z łowczym powiatowym Januszem Markiewiczem na czele, wielka.

Stosunki sportowe i towarzyskie z myśliwymi radzieckimi odznaczają się słowiańską bezpośredniością i serdecznością. Zresztą myśliwi to jest taki dziwaczny klan, bractwo czy mafia, że poznawać się z sobą jedni z drugimi długo nie potrzebują; na zadzierzgnięcie węzłów przyjaźni wystarczy krótka rozmowa.

W niedzielę 13 czerwca 1948 r. pogoda utrzymuje się nadal słoneczna, jest może tylko odrobinę za gorąco. Na strzelnicy gwar i ruch od samego ranka. Nad bramą wjazdową falują poważnie czerwone i biało-czerwone chorągwie. Orkiestra przygrywa wojskowe marsze, w altance w bufecie kręcą się biało ubrane kantyniarki, publiczności paręset osób, dalej cały park samochodów. Między przybyłymi na zawody gośćmi widzimy: wojewodę Piaskowskiego, delegata Rządu płk. Wilkońskiego, naczelnego dyrektora Państwowej Fabryki Prochu w Pionkach Kiełczewskiego, starostę legnickiego i innych.

Krótki uścisk dłoni, wymiana upominków. Kapitan drużyny radzieckiej, płk. Klementiew, aż ugina się pod ciężarem otrzymanej od naszej ekipy statui brązowego żubra.

Orkiestra gra hymny państwowe, flaga wędruje wysoko na maszt, rozwiewa się, tuli do drzewca... i znów faluje...

Pierwsza według kolejności rzuconego losu strzela drużyna radziecka w składzie: płk. Ardajew, mjr. Kaszpar, ppłk. Kuźmienko, mjr. Szechidze, płk. Klementiew, kpt. Anochin.

Następnie nasz zespół w składzie: J. Kiszkurno,



Ekipa polska na Zawodach Strzeleckich w Legnicy

K. Łyskowski, W. Jeziorowski, R. Feill, S. Czerski, W. Ziegenhierte.

Drużyna polska zaczyna strzelać z pechem.

Pierwszy rzutek wzlatuje przed Kiszkurną — niewypał. Sędziowie każą powtórzyć. Pudło! Pudłuje Łyskowski, pudłuje Ziegenhierte, nareszcie Czerski przerywa złą passę. Oddychamy. Rzutek rozlatuje się w proch, czerwona chorągiewka wyzwala się ze zbitego krążka i falując opada, aż powoli niknie w trawach.

Pierwsza pięćdziesiątka daje już wyraźną przewagę naszej drużynie. Widzowie gromadzą się przy tablicy wyników, dyskutują zawzięcie. Jesteśmy prawie pewni zwycięstwa.

Wynik pierwszego dnia brzmi następująco:

1) Ziegenhierte 89%
2) Kiszkurno 88%
3) Kaszpar (R) 87%.

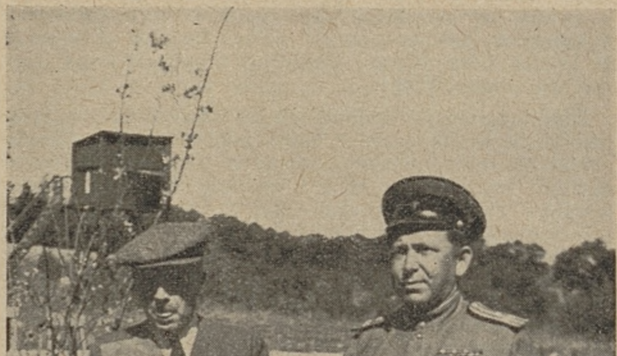
Drużyna polska lepsza jest o 11 punktów od radzieckiej. Ziegenhierte zdobył piękny komplet myśliwski, składający się z futerału, torby i pasa. Drużyna nasza — kryształowy puchar.

Choć zwycięstwo pierwszego dnia przyszło nam dość łatwo, głównie dzięki dużo większej szybkości strzałów i rutynie standowej naszej drużyny, zawody „z podchodu" budziły sporo obaw o ostateczny wynik. Pomijając bowiem sprawę treningu, myśliwi radzieccy rozporządzali dużo lepszą bronią, a przede wszystkim znakomitą amunicją (longi 70 mm). Strzały płk. Ardajewa z gołębiarki Greifelda rozbijały rzutki i to w maczek, po prostu na nieprawdopodobne odległości 80 do 90 kroków.

A przy strzelaniu z podejścia, kiedy rzutek wylatuje niespodziewanie na 15 — 12 metrów, i kiedy należy się dopiero zatrzymać, złożyć a następnie strzelić — przewaga broni i naboi staje się rzeczą najważniejszą.

Niemniej asy naszej drużyny trzymają się doskonale, Kiszkurno ma na 40 rzutków 37, Łyskowski 30, najlepszy z Rosjan 33. Zdawało się, że zwycięstwo znów przesuwa się na stronę naszych barw. Tymczasem Kiszkurno najniespodziewaniej robi w ostatniej dziesiątce 4 pudła. Nie ratuje sytuacji Łyskowski, który, poprawiając z fantazją kapelusz, ma czystą serię, bo jeżeli mjr Kaszpar zrobi również czystą, to będzie o jeden punkt lepszy od Kiszkurno.

I tu trzeba podkreślić zdecydowaną wolę zwycięstwa, prawdziwie sportowe zacięcie i hart tego młodego, niespełna 30-letniego majora i lekarza, który ani jednego pudła w tej ostatniej dziesiątce nie zrobił, choć oczy i fluidy życzeń kilkuset osób, zgromadzonych na strzelnicy, spoczywały na dwójce, widniejącej na jego plecach.



Kapitanowie drużyn polskiej i radzieckiej po wręczeniu wzajemnych upominków

Pierwsza polska drużyna dała majorowi Kasparowi po dziesiątym trafnym strzale rzęsiste brawa, a Kiszkurno ucałował się z nim serdecznie, po myśliwsku „z dubeltówki".

Drugi dzień przyniósł zatem zwycięstwo drużynie radzieckiej z przewagą punktów, a tym samym nagrodę Ministra Leśnictwa, B. Podedwornego w postaci orła, rozwijającego skrzydła do lotu.

Wyniki indywidualne drugiego dnia przedstawiały się następująco:

I. mjr Kaszpar (R)
II. Kiszkurno
III. mjr Szechidze (R).

Ponadto mjr Kaszpar otrzymał jako indywidualną nagrodę dubeltówkę szesnastkę z eżektorami.

Wręczenie tych nagród przez przewodniczącego kolegium sędziów, zakończyło dwudniowe zawody.

Bankiet pięknie przygotowany przez drużynę radziecką zamknął nasz pięciodniowy pobyt w Legnicy.

Było na nim dużo dobrego kaukazkiego wina oraz innych specjalnych przysmaków rosyjskich; wzniesiono też w czasie bankietu wiele toastów. Jeden z nich utkwił mi specjalnie w pamięci, kiedy to płk. Siergiejenko wypił zdrowie kol. Łyskowskiego „tego, który zachował sprawność, hart i serce do myślistwa i sportu, pomimo spędzonych dwóch lat w Dachau i Oranienburgu, w koncentracyjnych obozach hitlerowskich".

Toast ten utkwił mi dlatego w pamięci głęboko, że hart, tężyznę i serce zachowali przez mrocznych 6 lat okupacji wszyscy nasi zawodnicy, a raczej wszyscy polscy myśliwi.

Z. Kowalski.

Międzynarodowe zawody strzeleckie w Anglii

Dnia 22, 23 i 24 lipca 1948 r., z okazji XIV Igrzysk Olimpijskich, zostały urządzone w Bisley Camp, Brookwood koło Londynu, zawody strzeleckie do rzutków o mistrzostwo Anglii, Europy i świata.

Zawody były organizowane przez Clay Pigeon Shooting Association (C.P.S.A.) i nie mogły otrzymać statutu międzynarodowego, ponieważ rzutki były puszczane z maszyny automatycznej typu amerykańskiego, a nie na regulaminowej strzelnicy, obsłużonej systemem 15 maszyn. Stąd też nazwa zawodów została ustalona jako „Mistrzostwo Anglii, Europy i świata w strzelaniu do rzutków wypuszczanych z maszyny automatycznej" (The English, European & Wordl Clay Pigeon Shooting Championships over the Automatic Trap).

Dla informacji dodam, że automatyczna maszyna jest obsługiwana przez 2 ludzi. Jeden w budce wkłada rzutki na ramię maszyny, drugi z tyłu, przy pomocy dźwigni naciąga sprężynę i zwalnia zaczep w odpowiedniej chwili na rozkaz „daj". Automatyczna maszyna obsługuje 5 stanowisk i zawodnicy strzelają do 5 rzutków z każdego stanowiska, tak, że nr pierwszy rozpoczyna serię kolejno z 1, 2, 3, 4 i 5 stanowiska. W związku z tym serie strzelane były do 25 rzutków. Maszyna automatycznie zmienia kierunki, ale kąt wyrzutu pozostaje ten sam i szybkość początkowa niezmienna.

Należy również nadmienić, że C.P.S.A. zwróciło się we wrześniu 1946 r. do Komitetu Organizacyjnego XIV Igrzysk Olimpijskich w Londynie celem włączenia strzelania do rzutków do Olimpiady, lecz z powodu wypełnionego programu prośba została odmówiona. W sierpniu 1947 r. Federation Internationale de Tir aux Armes Sportives de Chasse w Paryżu przekazało kontrolę nad strzelaniem do rzutków Federation Internationale de Tir w Sztokholmie, pozostawiając sobie kontrolę nad strzelaniem do gołębi żywych. Krok ten wzmacnia pozycję organizacji amatorskiego strzelania do rzutków i pozwala przypuszczać, że ten piękny sport zostanie zaliczony do przyszłych igrzysk olimpijskich.

Zawody w Bisley zostały rozegrane przy udziale około 100 zawodników następujących narodowości: Anglia, Argentyna, Belgia, Dania, Francja, Grecja, Norwegia i Szwecja. Rzutki stosunkowo łatwe, dolatujące maksymalnie do 50 metrów. Pogoda niezła, jedynie pod koniec drugiego dnia było trochę deszczu.

Wyniki pierwszego dnia o mistrzostwo Anglii do 100 rzutków:

1)	Aasnaes	H.	Norwegia	98/100
2)	Rimer	S.	Anglia	96/100
3)	Lucas	C.	Anglia	96/100
4)	Fear	E.	Anglia	93/100

Wyniki drugiego dnia o mistrzostwo Europy do 200 rzutków:

(wyniki z dwóch dni)

1)	Rimer	S.	Anglia	194/200
2)	Aasnaes	H.	Norwegia	192/200
3)	Catterall		Anglia	191/200
4)	Fear	E.	Anglia	191/200

Wyniki trzeciego dnia o mistrzostwo świata do 300 rzutków:

(wyniki z trzech dni)

1)	Aasnaes	H.	Norwegia	291/300
2)	Catterall		Anglia	289/300
3)	Fear	E.	Anglia	287/300
4)	Rimer	S.	Anglia	287/300

Mistrzostwo ekipowe zdobyła we wszystkich trzech konkurencjach Anglia.

W trzecim dniu zawodów, w nagrodzie dnia (do 100 rzutków), trzecie miejsce zdobył nasz rodak W. Kołaczkowski z wynikiem 95/100.

Strzelanie odbywało się równocześnie na czterech strzelnicach, równoległych, urządzonych prymitywnie i prowizorycznie. Widoczność czarnych rzutków na ciemnym tle falistego wrzosowego poligonu — raczej słaba. Przy każdym standzie stał mały namiot dla podsędków. Z tyłu duży namiot dla zawodników i mniejsze dwa dla sędziów. Organizacja sprawna i szybka, tak, że składy często kończyły przed wyznaczonym czasem. Widzów mało, a to głównie z powodu odległości od Londynu (godzina pociągiem). Rozkład strzelania: 4 serie po 25 rzutków, 50 przed i 50 po południu każdego dnia. Początek strzelania o godzinie 10, koniec około 17. Rzutki treningowe od godziny 8.30 do 9.30 każdego dnia zawodów.

Przed zawodami trening był dostępny dla wszystkich zawodników na przyległej strzelnicy klubu Bisley w identycznych warunkach w jakich odbywały się zawody, tylko z lepszą widocznością.

Rozstrzeliwanie przy jednakowych wynikach odbywało się w normalnej odległości 15 m do 25 rzutków, dla ewentualnego pierwszego i drugiego miejsca. Dla pozostałych miejsc również na 15 m do 25 rzutków, licząc punkty karne również dla rzutków rozbitych drugim strzałem.

Rozdanie nagród odbyło się 25 lipca br., w Hotelu Charing Cross w Londynie, po czym Bisley Club przyjmował zawodników i gości herbatą.

W. R.

Zawody strzeleckie w Porażynie

(Leśny Ośrodek Szkoleniowy).

W dniu 5 czerwca br. porażyńska brać leśna, przy współudziale Powiatowej Rady Łowieckiej w Nowym Tomyślu, urządziła w parku Ośrodka zawody strzelecko-myśliwskie o nagrodę przechodnią Wojewódzkiej Rady Łowieckiej. Do zawodów stanęło 33 zawodników. Powitał ich kierownik Ośrodka, inż. Stanisław Hassny, po czym otwarcia zawodów dokonał starosta nowotomyski, ob. mgr Nowierski, oddając serię strzałów do tarczy honorowej.

Zaznajomieni z regulaminem zawodów strzelcy, zajęli stanowiska, jak następuje:

1. do znikającego dzika na 50 m kulą stanęło 26 zawodników (w tym z L.O.S. — 15),
2. do susującego rogacza na 35 m kulą stanęło 18 zawodników (w tym z L.O.S. — 8),
3. do rzutków śrutem stanęło 6 zawodników (w tym z L.O.S. — 3),
4. do mknącego zająca na 30 m śrutem stanęło 24 zawodników (w tym z L.O.S. — 8).

Z tego w trójboju o nagrodę przechodnią Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Poznaniu brało udział 14 zawodników — jednak wskutek nieuzyskania minimum, nagroda ta przyznana nie została. Pierwsze nagrody wartościowe, ufundowane przez ob. starostę nowotomyskiego, Jedność Łowiecką w Warszawie, Jedność Łowiecką w Poznaniu, Warszawską Spółkę Myśliwską w Poznaniu, Głos Wielkopolski i przez Powiatową Radę Łowiecką w Nowym Tomyślu, zdobyli:

do dzika kulą — I	Bestyński L.O.S. Porażyn
do rogacza kulą — I	inż. Rafalski L.O.S. Porażyn,
do rzutków śrutem — I	Mądrzak L.O.S. Porażyn,
do zająca śrutem — I	Maciński, Zagórze.

W zawodach brała udział reprezentacja Koła Leśników Uniwersytetu Poznańskiego, wyrażając chęć współpracy w przyszłych podobnych zawodach.

Wieczorem odbyła się w salach Ośrodka zabawa taneczna, w czasie której przedstawiciel Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu, inspektor Sagan, rozdał zawodnikom zdobyte nagrody.

Całość pozostawiła w pamięci uczestników najlepsze wrażenie. Ośrodek ma zamiar urządzić jesienią podobne zawody, które zapewne ściągną większe rzesze miłujących sport łowiecki.

Strzelanie do rzutków w Bydgoszczy

Po zdobyciu odpowiedniego sprzętu i odbudowaniu strzelnicy na Czyżówku, Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Bydgoszczy urządziło w dn. 18 lipca 1948 r. konkursowe strzelanie do rzutków, w którym wzięło udział kilkudziesięciu myśliwych z Bydgoszczy, Inowrocławia i okolicznych powiatów. Komitet Wykonawczy P. Z. Ł. reprezentował kol. K. Łyskowski, a Dyrekcję Lasów Państwowych w Toruniu i Wojewódzką Radę Łowiecką — kol. inż. Rosochowicz.

Strzelanie odbywało się równocześnie na 2 stanowiskach, przy czym każdy myśliwy strzelał jednorazowo do 10 rzutków; w razie równej ilości strąconych rzutków decydował lepszy stosunek oddanych strzałów. Sędziował kol. Łyskowski.

Wyniki strzelania są następujące:

1.	inż. M. Kokczyński	(9	rzutków,	13	strzałów)
2.	Antoni Kolańczyk	(8	„	14	„
3.	Józef Berger	(8	„	15	„
4.	W. Żbikowski	(7	„	10	„
5.	Jan Kentzer	(7	„	10	„
6.	Michał Pilaczyński	(7	„	11	„
7.	Rudolf Oczadły	(7	„	11	„
8.	Włodzimierz Buczkowski	(7	„	11	„
9.	dr Stefan Obarski	(7	„	14	„
10.	mjr. Władysław Lindner	(7	„	14	„
11.	mjr. Krawczyk	(7	„	17	„
12.	Zdzisław Józefowicz	(6	„	9	„
13.	Leon Kędziorski	(6	„	10	„
14.	Czesław Gockowiak	(6	„	10	„

Zwycięscy zdobyli szereg cennych nagród w postaci sprzętu, amunicji i literatury łowieckiej, ufundowanych przez Komitet Wykonawczy P. Z. Ł., Dyrekcję Lasów Państwowych w Toruniu, Wojewódzką Radę Łowiecką, Powiatowe Towarzystwo Łowieckie, Powiatową Radę Łowiecką oraz Spółdzielnię „Jedność Łowiecka". Inż. Kokczyński zdobył ponadto cenną nagrodę przechodnią Towarzystwa, a mjr Lindner, jako najlepszy spośród wojskowych, srebrny puchar, ufundowany przez Dowódcę OW, generała Połturzyckiego. Nagrody wręczali: prezes Towarzystwa J. Patalong, inż. Rosochowicz, Łyskowski oraz łowczy powiatowy dr Soboczyński.

Udany ten popis strzelectwa sportowego przyczynił się niewątpliwie do spopularyzowania go wśród młodszej generacji myśliwych; niektórzy z nich, strzelając do rzutków po raz pierwszy w swym życiu, osiągnęli bardzo dobre punktowane rezultaty. Wierzymy, że niejeden z nich wejdzie w przyszłości do naszej reprezentacyjnej ekipy.

MIĘDZYPOWIATOWE ZAWODY STRZELANIA DO RZUTKÓW W KALISZU (26/VI.1948).

Z trzydziestu kilku zawodników na I miejsce wybił się Bolesław Mieszkowski z Kalisza, uzyskując 29/30, wyprzedzając tak wybitnych strzelców jak: Stanisław Czerski z Warszawy, który uzyskał II miejsce—28/30 i dr Józef Ciążyński z Leszna, III miejsce 27/30. Inni zawodnicy zajęli dalsze miejsca: M. Opieliński, Konin, IV miejsce 26/30, E. Kryszkiewicz, Krotoszyn, V miejsce 26/30, St. Kazimierczak, Kalisz, VI miejsce 25/30. W. Sikorski, Kalisz, VII miejsce 23/30.

Ogólny poziom strzelców był wysoki. Zawody cieszyły się ogromnym zainteresowaniem przybyłej publiczności

Ładne i wartościowe nagrody fundowała Rada Powiatowa P. Z. Ł. w Kaliszu a także Spółdzielnia „Jedność Łowiecka", która ponadto dała amunicję myśliwską dla zawodników. Na specjalne podkreślenie zasługuje sprawna organizacja imprezy, dzięki energii łowczego powiatowego W. Sikorskiego i innych członków Rady.



Zdobywcy trzech pierwszych miejsc na Zawodach

(Nawet zwycięstwo nie upoważnia do nieprawidłowego trzymania broni. Red.)

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ

„PODSTAWY ŁOWIECTWA" — prof. J. GIEYSZTORA, nakładem P. Z. Ł. Warszawa, 1948 r. (drugie wydanie), str. 95.

Myślistwo jest kompleksem bardzo różnorodnych zagadnień i osobliwych właściwości. Jest dziedzicznym instynktem po pra-pra-ojcach, wiąże ukochanie przyrody z pożytkiem gospodarczym, nieci zdrowe ambicje w zakresie zręczności strzeleckiej i wytrzymałości fizycznej, bywa dochodowym przemysłem, łącząc się z gospodarką leśną i rolną, jest rycerską zabawą, najpiękniejszym sportem...

Z natury rzeczy narzuca towarzyszom spod znaku Św. Huberta karność, która winna być ściśle, trybem wojskowym przestrzegana, która poniekąd staje się kodeksem honorowym każdego prawego myśliwego. Owym właśnie rozumowanym kodeksem myśliwskim w pewnym stopniu jest broszura prof. Józefa Gieysztora, która wyjrzała na świat ze szpalt „Łowca Polskiego" (autor jest naczelnym redaktorem naszego czasopisma), a która w pierwszej odbitce rozeszła się tak szybko, że trzeba było co rychlej pośpieszyć z nowym, uzupełnionym wydaniem.

Tak musiało być i tak się stało. Gnuśny to będzie myśliwy, który wraz ze strzelbą i z torbą na ładunki, nie będzie w swej kwaterze posiadał „na wszelki przypadek" — tego łowieckiego przewodnika. W treściwym a przejrzystym wykładzie ujęte w nim i rozważone zostały zadania i obowiązki myśliwego, prawidła i obyczaje, regulujące przebieg i porządek polowań, naczelne zasady, dotyczące ochrony i hodowli zwierzyny — całokształt w skrócie spraw łowieckich.

Oczywiście, często się zdarzy, iż te wiadomości i przykazania będą myśliwemu mniej lub więcej znane, że nawykł je pilnie respektować. I ten jednak nieraz coś przepomni, dozna wątpliwości. Zdarza się z kolegami spory. W „Podstawach Łowiectwa" prof. Józefa Gieysztora każdy myśliwy znajdzie światło, utwierdzi się w swym przekonaniu, o niejednym się dowie.

Dyletant wiele się nauczy. Każdy myśliwy zaglądać będzie do tej książki z przyjemnością, bo autor formułuje swoje wywody ze znajomością sprawy, treściwie i żywo, w każdej nieomal jego wypowiedzi wyczuwa się powagę i autorytet rozkochanego w swym kunszcie myśliwego.

Pełnię tej monografii snadnie określa spis poszczególnych rozdziałów, które społem stanowią umiejętnie rozplanowaną całość. Godzi się te rozdziały wymienić:

Znaczenie łowiectwa i jego przemiany. Gospodarcze znaczenie łowiectwa. Prawo łowieckie. Etyka i kultura łowiecka. Ochrona przyrody. Organizacja łowiecka. Sposoby i formy polowania. Trofea myśliwskie i metody ich oceny. Zabiegi hodowlane. Walka z kłusownictwem. Broń, amunicja i strzelectwo myśliwskie. Bezpieczeństwo publiczne. Zwierzęta łowne. Szkody wyrządzane przez zwierzynę. Pies myśliwski. Piśmiennictwo łowieckie. Język łowiecki. Wystawy, pokazy i konkursy myśliwskie i strzeleckie. Łowiectwo w sztuce, muzyce i pieśni.

Cały ten materiał umiał zamknąć prof. Józef Gieysztor w książce, liczącej niespełna sto stronic.

Stefan Krzywoszewski.

POMORSKI BIULETYN ŁOWIECKI. Piąty zeszyt Biuletynu Pomorskiego, prowadząc nadal swą pożyteczną pracę szerzenia fachowej wiedzy łowieckiej, poświęcony jest z kolei sarnie. Inż. Jan Polcyn z Runowa zamieszcza „Kilka uwag na temat hodowli i odstrzału sarn", w których uzasadnia konieczność dążenia do posiadania w łowisku stosunku ilościowego płci jak 1:1, ale w tym kozłów kapitalnych, mających służyć sprawie rozpłodu, tyle, aby wyłącznie one zapładniały matki, a nie kozły młode, a tym bardziej chore czy zdegenerowane. To też sprawa odstrzału powinna być regulowana w myśl tych wskazań. Kozły kapitalne należy ochraniać, dobrze zapowiadającej się młodzieży trzeba dać możność dojrzeć (co następuje dopiero w 5—6 roku), zaś odstrzeliwać należy sztuki wyraźnie słabe, o wadliwej budowie poroża, stare wsteczniki. Odstrzał takich kozłów powinien hodowca przeprowadzić sam, po dokładnym przyjrzeniu się im i zawsze przed okresem rui, aby zapobiec zapłodnieniu przez nie kóz. Równocześnie powinien być stosowany i odstrzał kóz. Poza chorymi usunięte być winny kozy stare, jałowe przez dwa z kolei lata oraz ta liczba młodych, której wymaga potrzeba utrzymania stosunku płci 1:1.

Na ten sam mniej więcej temat pisze i kol. Józef Goetz pt. „Odstrzał selekcyjny sarn", rozwijając i bliżej uzasadniając tezy, wysunięte przez kol. J. Polcyna. Zasługującym na szczególną uwagę jest wstęp, charakteryzujący formy parostków i przyczyny ich zniekształcenia.

Kol. Leon Dąbrowski z Wąbrzeźna w artykule pt. „Sarna polna w powiecie wąbrzeskim", a kol. T. Siedlewski na mapce pt. „Sarna w powiecie włocławskim" zdają sprawę ze stanu tej zwierzyny na powierzonych im terenach.

Bardzo na czasie jest zamieszczenie w Biuletynie kilku głosów kolegów z Pomorza „W sprawie pocisków „Brennecke" oraz przedruk z „Łowca Polskiego" z 1928 r. nr 34 listu autora tego pocisku, Wilhelma Brennecka. Odsyłając kolegów, interesujących się tym aktualnym dziś zagadnieniem, do nru 5 „Biuletynu Pomorskiego", podkreślimy tu jedynie stwierdzenie przez Redakcję Biuletynu, że skutecznym i jedynie dopuszczalnym strzałem kulą Brennecke jest odległość 30—35 metrów, a więc do 50 kroków i to pod warunkiem należytego wykonania pocisku.

Niepokojącą jest wiadomość o wybuchu na Pomorzu pomoru na dziki. Zauważono go na jesieni ubr. w nadleśnictwach Lutowko i Jachcice, a w styczniu br. w nadleśnictwie Sosnowo. Choroba ta objawiła się zewnętrznie przez dziwną apatię tego ostrożnego i ruchliwego zwierza, chód powolny, zgarbioną postawę i częste pokładanie się. Ułatwiło to odstrzał chorych sztuk, zbadanie jednak wnętrzności wykazało jedynie schorzenie śledziony, zaś żołądek i jelita były w stanie normalnym, ale zupełnie puste, co tłumaczy się zaprzestaniem przyjmowania pokarmu. Na wiosnę br. choroba poczęła ustępować, ale ogółem znaleziono w wymienionych 3 nadleśnictwach około 50 padłych dzików. Znalezione sztuki zakopywano na głębokość najmniej 1 m, aby zapobiec wykopywaniu ich, zaś ubite chore dziki przesłano do Instytutu Weterynarii w Bydgoszczy. Jest podejrzenie, że dziki zaraziły się od chorej trzody chlewnej.

J. Gieysztor.



Druk i klisze – Wojskowy Instytut Geograficzny Al. Jerozolimskie 55. R. W. 1340. – IX. 48. 30.000. –B–57338

Odezwa do myśliwych

W roku jubileuszowym dwudziestopięciolecia istnienia Polskiego Związku Łowieckiego my, myśliwi ze zjednoczonego obszaru Pomorza, przystępujemy dziś, dla upamiętnienia jubileuszowej daty naszej organizacji ideowej, do wydania

J e d n o d n i ó w k i,

którąby treścią swoją uzmysłowiła wszystkim polskim myśliwym, jakie jest łowieckie bogactwo Pomorza.

Oznajmiając o tym wszystkim myśliwym zjednoczonym w Polskim Związku Łowieckim, pragniemy — w ich własnym interesie — dowiedzieć się dokładnie, przed rozpoczęciem prac drukarskich, jak szeroko sięgnie zainteresowanie tą pracą. Wiadomość ta jest konieczną dla ustalenia wysokości nakładu tej „Jednodniówki", aby starczyło egzemplarzy dla wszystkich zgłaszających się.

Z tych względów prosimy wszystkie Wojewódzkie Rady Łowieckie i z kolei wszystkie Powiatowe Rady Łowieckie P. Z. Ł. oraz wszystkie zorganizowane Kółka Łowieckie do wezwania myśliwych do deklarowania zamówień na

J e d n o d n i ó w k ę,

która ukaże się w dniu Patrona Łowiectwa Św. Huberta, tj. 3 listopada 1948 r.

Przewidziana objętość „Jednodniówki"— od 64 do 96 stron druku, formatu „Łowca Polskiego", z ilustracjami w postaci reprodukowanych zdjęć fotograficznych, rysunków, wykresów i mapek rozmieszczenia zwierzyny, w okładce barwnej, półsztywnej. Cena „Jednodniówki" w przedpłacie wyniesie 200 zł, po ukończeniu wydawnictwa 300 zł (lub więcej).

Zamówienia oraz gotówkę prosimy kierować zbiorowo za pośrednictwem Powiatowych Rad Łowieckich i Kółek Łowieckich do odnośnych Wojewódzkich Rad Łowieckich, do których jednocześnie apelujemy o przekazanie całości na nasze konto czekowe w P. K. O. Poznań nr V-4408 (właściciel konta: Polski Związek Łowiecki, Pomorska Rada Wojewódzka w Toruniu, ul. Mickiewicza 9) z odpowiednią adnotacją na odwrocie blankietu nadawczego.

Adres Komitetu Redakcyjnego jest następujący: Zarząd Miejski w Toruniu, Dobra i Lasy, pokój 147.

Przedpłata może być dokonana najpóźniej do dnia 30 września 1948 r. Po tym terminie obowiązywać będzie cena wyższa.

Komitet Redakcyjny:

Dr inż. Józef Goetz, (Toruń), Henryk Górski, (Gdańsk), inż. Herman Knothe, (Olsztyn), Włodzimierz Korsak, (Gorzów), Panfil, (Olsztyn), Władysław Zabiełło, (Szczecinek).

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę odkładki lub za tekstem, pobiera się 15.000 zł., za ¾ strony — 12.000 zł., za ½ strony — 9.000 zł., za ¼ strony — 6.000 zł., za ⅛ strony — 3.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne prywatne zwykłym drukiem — po 15 zł. za wyraz, grubym drukiem — 30 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Redakcji.

Redaktor — prof. J. Gieysztor. Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki.